



ZESZYT TRZECI.

ROZNIK V. — 1872.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY).

Nonie stały na deszczu ponakrywane derkami; gość dobył z pod płaszcza faszki, którą miał na sznurku, i dopomnił się chleba. Ot, gospodarzu — rzekł — napilibyśmy się wódki...

Hruzda nigdy nie był od tego, splunął skłaniając głowę. Nieznajomy rachując może na to, iż wódka gębę otwiera, przepił raz i drugi do gospodarza... Siedli zając chlebem z solą, do którego główka też czosnku się znalazła. Hruzda nie był człowiekiem bardzo bystrym, przecież dziwnie go ten po latach dziewięciu znowu zjawiający się gość niepokoił. Jął mu się więc przypatrywać bardzo uważnie, domyślając, że może nie był tym, za którego chciał uchodzić. Spojrzał na ręce: opalone były, czarne, nie pańskie, ale też nie zapracowane jak chłopskie. Znać człek ten albo wojskowo, albo koło pola służył i pracował lub drugich dozorował. Do tego też najpodobniejszym był. Twarz miał ponurą, wyraz jej teraz jeszcze surowszym wiek uczynił... Brwi narosły mu nad oczami. Na czole od upałów śnać, póki kapelusz zakrywał, skóra była bielsza, niżej opalona i od wiatru aż stwardniała. Odzież na nim porządna a nie wikwintna... dostatnia była a nie wyszukana. Płaszcz z grubego sukna, buty kozłowe, pas skórzany... Wyglądał na włodarza, albo rządę lub kawalkatora... Mowa też zdradzała obyczaj dworski...

— Coś wasza baba nie powraca! — rzekł gość — najijmy się no raz jeszcze na tę słotę... Napili się.

— Mówcie mi o chłopcu — dodał nieznajomy — wyście go nie lubili, jako sami przyznajecie, rychlej się od was prawdy dowiem. Zkądże mu ta buta rosla, kiedy wiedział, że jest chłopskiem dzieckiem a sierotą?

— A kat go wie — rzucił Hruzda... jam mu rogów przycierał, ale nie pomagało... Baba go psuła, jakby jedynaka... Jeśli kto winien, to ona.. Myśmy też już po dwóch, trzech leciech nawykli go byli za swego uważać, boście się wcale nie zgłaszali, aniście parę puścili.

— Bom nie mógł — mówił szlachcic — na trzeci dzień po zostawieniu go u was spotkała mnie bieda.

— Osobliwsza rzecz — wtrącił Hruzda — i właśnie w kilka dni potem, gdy jego nie stało... wyście się do nas zjawili?

Szlachcic ręką po stole uderzył. — A com ja temu winien! Mało się to rzeczy tak składa!.. Człowiek losom nie panuje, a losy jemu... Jakem tylko się zwolnił, przybiegłem...

Drzwi chaty otworzyły się, i Hruzdina fartuchem okryta weszła. Otrzęsła się z deszczu. — Niech będzie pochwalony...

— Cóż to, matko? nie poznaliście mnie? — spytał wstając podróżny. — Jam ci to waszego Janka ojciec przybrany.

Baba stanęła wryta i ręce załamała... Po dziewięciu leciech pierwszy raz... przyszliście się dowiadywać dopiero o niego. W porę — zawołała... a toż go nie ma...

— Wiem już wszystko, i to także, że wy wiedzieć macie, gdzie się on obraca...

Na twarzy starej kobiety widać było jakby chwilę wahania się i niepewności, zdawało się, że nie wie, co odpowiedzieć lepiej, że rachuje, czy dla chłopca szczęśliwiej będzie dostać się na ręce tego opiekuna, czy zostać tam, gdzie był. Wpatrywała się w twarz przybysza i walczyła z przywiązaniem do dziecka.

Wygląda nie zbyt dostatnio — mówiła w duchu — niewielkie szczęście mu dać może, a sam mówił, że to dziecko cudze i że je wziął tylko z litości. Zaprzęże do pracy, odciągnie gdzie daleko... poprowadzi za świat...

Pomyśliwszy tak chwilę odparła smutnie.

— A! gdybym ja też wiedziała doprawdy, co się z nim stało! gdyby! ale zkaż, jak ja o tem wiedzieć mogę? Dziecko ze strachu porwawszy się uciekło... kto wie, gdzie go teraz szukać?

— Jakże się wam zdaje? — niedowierzająco zapytał gość.

— Albo ja wiem! Pana Boga tylko proszę, żeby go od nieszczęścia ochronił; nie wiem nic, doprawdy... Toćbym się z tem przed swoim i przed wami nie kryła, bo wiem, że mu źle nie życzycie...

Gość się zadumał... Zwolna zaczął sprzączki pod opończą rozpinać, wysunął trzos na stół i położywszy go przed sobą, niby się rozmyślał, czy go otworzyć. Baba i Hruzda spojrzeli po sobie. Obojgu jakoś przypomniało się, że gdyby za lat ośm zaległość obliczyć i zboże dorachować, pięknegoby grosza dostali, o jaki w chacie włóściańskiej trudno; a jakże się o to upominać, kiedy chłopca nie było.

— Gdybym wiedział, gdzie Janka szukać — przebaknął przybyły — tobym gotów wam dług zapłacić, choć mi to ciężko... Miałem i ja biedy dosyć, a co innego po kilka talarów w rok zbyć, niżeli razem taką sumę oddać... Ale-bym się zmógł... co robić, co się rzekło, dotrzymać trzeba, tylko mi chłopca dajcie.

Hruzda spojrzął na żonę; ruszyła ramionami baba i fartuchem mokrym niesuchą twarz jakby zakłopotana otarła. — Zkaż, że go wziąć! — odpowiedziała pociechu...

— Ej! babo jakaś uparta! — krzyknął mąż — co ty tam udajesz, a myślisz, że świat zwiedziesz! Ja cię na wylót znam, ty wiesz pewnie, gdzie jest...

— Ale nie wiem! — ofuknęła Hruzdina.

— Zaklnijże się na Boga — dorzucił mąż...

Kobieta zezerwienila się z gniewu i porwała na męża.

— Co to ty mnie będziesz do przysięgi pozywał? — odparła głosem wrzaskliwym — alboś to ty sędzia, albo ksiądz? albow to ja wiary niegodna, kiedy mówię, że nie wiem...

Nieznajomy brzęknął trzosem zwolna zsuwając go na kolana...

Niedoczekanie twoje, kusiecielu ty jakiś — w duchu szepnęła sobie Hruzdina — żebym ja ci za pieniądze dziecko sprzedawała...

Odrzuciła się gniewna, strzepnęła obmokłą odzież i poszła zagniewana do alkierza; dwaj mężczyźni pozostali sami, patrząc na siebie ze zwątpieniem.

— Dajcie pokój — szepnął Hruzda w ucho przybyszowi — ona już teraz nie powie nic, ale ja z niej dobędę powoli... jeżeli co jest... przyjedźcie później do mnie. Teraz już nie macie czego czekać... Ino przyjdźcie. — Zawahał się trochę szlacheć, dobył trzosa i nie mówiąc słowa rozpiął go, wysypał talarów kupę, wybrał białych pięćdziesiąt, co było nie małą sumą na te czasy, ułożył je dziesiątkami i posunął Hruzdzie.

— Naści — rzekł — nie chcę krzywdy waszej, lepiej niech się mnie dzieje krzywda. Płacę... bywaj zdrów.

To mówiąc trzosem się opasał pod opończą, kiwnął głową i szedł do drzwi. Hruzda ledwie oczom wierząc odprowadzał go do sieni zdjawszy czapkę. W sieni szlacheć mu szepnął tylko: — We czwartek będę w gospodzie, dowiedz się od żony, gdzie ona go podziała...

Na tem się skończyło, siadł na wózek i ruszył... Hruzda wrócił, i oboje ze starą stanęli nad stołem patrząc na te talary, które jeszcze dotykając ich za swoje nie mieli. Połykał je oczyma Hruzda... ale gdy już ręką sięgał, aby zbierać, wstrzymała go kobieta... Ani mi je rusz! — zawołała — ani ty mi ich tykaj! Za chleb odpracował chłopiec, nam się nie należy nic, pan Bóg by cię skarał, gdybyś szeląg z nich wziął. Nie pozwolę. Piorun chatę spali, grad zboże wybije... Cudzego nie bierz!!

— Co ty oszalałaś? — ofuknął Hruzda.

— Rachuj się z sumieniem — zawołała kobieta... zapytaj księdza... Ja wiem, że pieniędzy tych nie chcę, niech będą dla chłopca... my do nich prawa nie mamy... Hruzda, którego widok tego skarbu roznamiętnił, począł się klócić, wkrótce jednak wątpliwość jakaś zrodziła się w jego umyśle... zwolniał, zadumał się... i choć kwaśny dozwolił babie w szmatkę zawiązane talary schować, podpatrzywszy tylko, gdzie je skryła... Nie chciał się już z nią klócić, ażeby nie utrudnić dobytka z niej wiadomości o głupim Janku.

Ksiądz kanonik Hodowski siedział w bawialnym pokoju w krzesle, a przed nim w progu stało chłopię ciekawymi oczyma latając po kątach, zdumione, przestraszone nieco... a nadewszystko pociągnięte widokiem tylu rzeczy, o których dotąd wyobrażenia nie miało.

— Jakże cię nazywano, moje dziecko? — odchrząknawszy i przybierając postawę poważną odezwał się profesor — jak cię nazywano?

— Mnie, na wsi, proszę księdza dobrodzieja, nazywali głupim Jankiem.

— Jakto głupim? — rozśmiał się z naiwności profesor... dlaczego głupim?

— Musi być dlatego, że oni głupszy jeszcze byli odemnie — ozwał się Janek.

— A to, jak Chrystusa Pana kocham, odpowiedź doskonała! doskonała! — rozśmiał się kanonik... i podszedłszy pogłaskał go pod brodę...

— Któż twój ojciec, kto matka? mów śmiało...

— Ojca i matki nie znałem — westchnął chłopak — moja przybrana poczciwa, co mnie wychowała, mówiła mi, że jakiś szlachcic oddał im dzieckiem na wychowanie...

— A ty tego nie pamiętasz?

— Bardzo mało... jakby przez sen! — rzekł chłopak topiąc oczy w ziemię.

— Cóż ci się przypomina?

— Ja nie wiem, może to tylko... ot tak.. dziecinne jakieś bajki chodzą po głowie.

— Ale przecież? jakie?

— Nie pamiętam nic... nic... tylko bardzo piękną czerwoną ze złotem sukienkę, w którą mnie stroili... i żem płakał, gdy mnie w grube sukno przebrano... Sługa jakiś pochwycił mnie, usta mi zatulił i powiózł... Potem tylko wiem, że mi w tej chacie u starej mojej dobrej matki dobrze było...

Kanonik ręce założywszy w tył chodził długo zamysłony po pokoju... spojrzął na chłopca i westchnął.

— To ci się w istocie ta czerwona sukienka chyba przypomnieć musiała — rzekł po namyśle — wybić to sobie potrzeba z głowy... ale moje dziecko... teraz, gdyś już tu raz jest, gdzie się ludzie uczą, przez naukę możesz dojść do tego, co ci się marzyło we snach... ba! nawet do purpury! Bywały tego przykłady... przynajmniej w stanie duchownym niejednego purpurata liczymy, który gęsi pasał za młodu... A do nauki ochotę masz? — spytał.

— A księżę dobrodzieju! — zawołał chłopiec, któremu się oczy zaiskrzyły... okrutną.

Ksiądz się rozśmiał.

— Umiesz co? Klecha cię uczył przecie?

— Troszeczkę — westchnął chłopiec — ale proszę dobrodzieja, kiedyż się tam było uczyć! Trzeba było od rana do nocy późnej się wysługiwać... wołom zadać paszę, często i ziela dla krowy się postarać, pług narządzić, kosę naostrzyć, z sierpem iść, z broną, a choćby z rękami na pole... bo stary Hruzda popróznować nie dawał. Więc chyba matka czasem pomogła, żem chwilę odkradłszy zbiegł do szkoły, do klechy, albo przy ogarku za książkę mógł wziąć...

— Czytaszże? — spytał kanonik...

— Jako tako...

— A piszesz?

— Nic do rzeczy, proszę ojca — rzekł Janek — bo czasem i sam tego, co napiszę, przeczytać nie mogę.

Profesor się śmiał, aż się za boki trzymał.

— No, nic, nic, byle pilność, to się to naprawi — odezwał się — jakoś to będzie. Ja cię sam uczyć muszę, bo jak na płatnego albo z łaski bakałarza byś poszedł, ten cię nic nie nauczy... Na górze masz izdebkę niczego... Maciejowa, jak nie będziesz krnąbrny, nie poskąpi dla ciała obroku... odzienia się postaramy przystojnego... Czasu będziesz miał dosyć. Tylko mi nie leż, nie nygusować... nie zbijać bąków, nie łotrować po ulicach... Fałdów przysiedzieć... a potem do szkoły... i jak sobie pościelesz, tak się wypisz... Ot co...

To mówiąc profesor, któremu chłopiec z żywymi oczyma wyraźnie się podobał, wziął go za głowę i pocałował...

— Do kościoła codzień idź, pana Boga prosz... starszych słuchaj... pokorny bądź... boś to tam pono zbroił coś już, co dowodzi, że tej cnoty ci braknie... Hę? od różeg uciekłeś? prawda?

— Prawda, proszę jegomości, ale kiedy mi się te różgi nie należały, a no prędzej paniczowi...

— O! o! o! — zawołał kanonik — jakże to było? jak to było?

— Chciał na mnie sięść, jak na konia, i jeździć, i chammem przezywał i palnął... tom mu oddał. Ja go przecie nie zaczepiałem...

— Ależ to panicz był! — śmiejąc się rzekł łagodnie kanonik... co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi.. hę? nie rozumiesz! później ci to się w życiu wytłumaczy... Idź no... idź... Elementarz weź... jutro... rano, gdy wstanę, egzamen... a dalej... zobaczymy...

Chłopiec w rękę pocałowawszy kanonika wysunął się... i już miał na górę iść, gdy go Maciejowa po drodze złapała i do kuchenki wciągnęła.

Stara miała minę kwaśną i srogą, wzięła chłopca pod okno, aby mu się przypatrzeć naprzód... pokiwała głową, utarła nos i poczęła mruczeć...

— Wiesz, co masz robić? — spytała...

— Uczyć się — odparł Janek...

— A tak! a tak! uczyć się! a to myślisz, że cię tu darmo uczyć będą, i że chleb księdza kanonika będziesz jadł nie pracując? hę? Zrana wstawszy kuchnię mi zamieciesz i drewek przyniesiesz i wody. Ja stara... nie poderwiesz się przecie... Po obiedzie trzeba na wieczór wody znów przynieść, a czasami drewek. Jak się trafi na miasto posyłka... nogi za pas... Rozumiesz!

Janek się trochę poskrobał po głowie—ksiądz kanonik mi nic o tem nie mówił.

— A ja ci powiadam... ja — dodała Maciejowa — kanonikowi do tego nic, to moja rzecz... Było już tu przed tobą dosyć takich pauprów, wszyscy się wysługiwać musieli...

— Jam ci do roboty przywykł — rzekł Janek przypominając sobie zaleconą pokorę — mnie to nie będzie ciężko...

Obejrzał się po kuchence... jakoś w niej było niezamieciono i w wiaderku wody omal; spytał więc o miotłę i żywo wziął się do roboty. Maciejowa stała, patrzyła, wkońcu dobyła chleba z szafy i posmarowawszy masłem dała chłopcu, który ją w rękę pocałował. Nie powiedziała wprawdzie nic, ale pomyślała staruszka: Takiego poczciwego chłopca jeszcze u nas nie było, żeby go tylko żaki nie popsuly!! Bo to to miejskie tałatajstwo, choć dziś naszubienicę!

Był to jakiś targowy dzień, i pani Maciejowa właśnie się wybierała z koszykiem na miasto, gdy u drzwi w progu, wiejska kobieta z węzłkiem na plecach, porządnie odziana, przywitała ją zwykłym naszym:

— Niech będzie pochwalony! — Po odpowiedzi trochę zadychana wschodami, wieśniaczka podniosła głowę i popatrzywszy dookoła, zapytała nieśmiało. — Przepraszam jejmość, niech się pani nie gniewa, czy tu mieszka ks. Hodowski?

— Ks. kanonik profesor Hodowski — poprawiła Maciejowa — no tak! toć przecie kamienica nasza, a co ci do niego?

— A, przepraszam jejmość — dodała stara — mnie to do niego nie, ale... tu... ja... bo to... Tu jest chłopiec Janek...

— Jaki chłopiec? gdzie! co za Janek? po co wam do niego? — poczęła Maciejowa...

— Jakto? nie ma go tu? — rzekła przestraszona wieśniaczka.

— A cóż ci do niego?

— Toć to ja go wyniańczyłam i wychowałam od małości — cicho poczęła przybyła. — Maciejowa, której z Jankiem było dobrze, ułękła się, żeby go jej nie odebrano...

— Czekajcież — odezwała się — co my tu będziemy przede drzwiami gadały, chodźcie ze mną do kuchni...

Po cichutku obie kobiety przeszły przedpokój. — Głośno nie gadajcie — ostrzegła Maciejowa. — Chłopiec tu jest. Kanonik go sam uczy... ale jeżeli go odbierać myślicie, to mu świat zawiążecie... On go na ludzi wyprowadzić może, jak już nie jednego z lachmanów wyciągnął na Boży świat.. Panu Bogu dziękujcie tylko.

— O! moja dobrodziejko! — składając ręce zawołała wieśniaczka — jaż go ztąd brać nie myślę, grzechby był... tylko mi się za niebożątkiem stęskniło... a no, prawdą a Bogiem, chciało mu się i gościńca przynieść, i koszulinę świeżą...

Maciejowa pokiwała głową. — Toż w tem nic złego, ale my tu jemu z głodu, ani z nędzy przepadać nie damy... bądźcie spokojni... O chłopcu ja nie zapominam, je do syta, i bielizna mu się przepierze... i robactwu go jeść nie dozwolę...

Hruzdina aż ją w rękę pocałowała, dobyła szybko garnuszek z masłem, sér, kilka jaj i położyła je na stole... Przyjmijcież dobrem sercem, to się wam do kuchni przyda... a miejcie litość nad sierotą... A! Jejmościuniu... gdyby go jeszcze zobaczyć można...

— Czekajcie — rzekła Maciejowa ujęta podarkiem... na wasze stare nogi po schodach się drapać nie zdrowo... ja go tu zawołam...

— A no, moja dobrodziejko, i waszym też nogom czas odpocząć, a moje do chodzenia nawykły — zaśmiała się Hruzdina... pójdę choćby po drabinie.

— Nie potrzeba chodzić, siadajcie i odpoczywajcie — odparła gospodyni — sztukę wam pokażę. — To mówiąc wzięła miotłę z kąta, podniosła ją do góry i uderzyła w pułap trzy razy... Wkrótce potem po schodach coś biedz zaczęło, i przez otwarte drzwi od sieni wpadł Janek do kuchni... Obejrzał się, postrzegł tę, którą był nawykł matką nazywać, i wprost przybiegł do jej kolan; objęła go staruszka, i spłakali się oboje... Maciejowa poprawiła coś na kuchni, ale fartuchem też oczy ocierała...

Odłożyła wyjście na miasto... boć trzeba było dać się dziecku z matką jakby rodzoną wygadać. Maciejowa nawet uspokojona odeszła na stronę, aby im nie przeszkadzać, a Hruzdina opowiedziała Jankowi nietylko, co się we wsi działo, co ludzie gadali, ale i o tem, że się jego opiekun zjawił cudownie, i o zostawionych przezeń talarach, i o żądaniu jego, aby mu dziecko oddano... Janek się głęboko zamyślił. — Człowiek ten — rzekł — sam mówił, że mi ojcem nie jest, a opiekunem też nie był, kiedy o mnie dziewięć lat nie pamiętał... A Bóg że go wie, co ze mną zrobić zechce, kiedy ja uczyć się pragnę. Możeby zaprzęgl do pługa i do ciężkiej pracy wołowej... Jaż się na żadną nie wzdrygam — dodał — ale mnie tu ciągnie... Nie dawajcie mnie jemu... o! matko droga, nie dawajcie!!

Tak właśnie i Hruzdina myślała, spłakała się tylko staruszka raz jeszcze, i polecivszy dziecko Maciejowej wymknęła się z domu kanonika... Już była na Floryańskiej ulicy, gdy przestraszona wielce postrzegła męża, który dnia tego wcale na targu znajdować się nie miał, przekradającego się drugą stroną. Łatwo jej było odgadnąć, że ją szpiegował, i w trop pospieszyła za nim, aby się przekonać, czy wprzód za nią chodził. Hruзда pochwycony na uczynku zmieszał się nieco, ale baba miała nad nim długim pozyciem ustaloną władzę, wiedziała też, jak się z nim obejść... Udała, że nie rozumie, o co chodzi, i wesoło go przywitawszy zaprosiła do szyneczku. Hruзда oprzeć się nie mógł.

— Słuchaj — rzekła mu przy pierwszym kieliszku — przyszedłam do Krakowa księdza się zapytać, czy my sumiennie pieniędzy nam zostawionych użyć możemy, bom ich na sumieniu mieć nie chciała... Ksiądz rozgrzeszył, talary sobie weź, byleś ich nie przepił... stanie na parę koni... Gdyby się chłopiec znalazł — dodała — byłoby co innego... trzebaby może coś jemu z nich oddać, ale o tym biedaku wieści nie ma...

Hruzda popatrzył na nią.

— Cóż robić? — rzekła kobieta — trzeba się zgodzić z wolą Bożą, niech go sobie sam szlachcic szuka... a nam co do tego!

Hruzda głową potakiwał... Zdawało się, że chyba o schronieniu nie wiedział.

Nie był on wcale do rozmowy skłonny na trzeźwo, a napiwszy się mrucał tylko, słowa z niego dobyć było trudno, śpiewał czasami, mówił mało. I tym razem kieliszek obracał zaszepiony... A to bieda — mruknął narzeczcie.

— Z czem? — spytała żona.

— Ten szlachcic tu za naszymi plecami gdzieś musi być, bo go w rynku spotkałem...

— To go się zbędzie lada czem — szepnęła Hruzdina — tylko sam już nie idź... ale razem...

Domawiali tych słów, gdy kuternoga w progu się ukazał, oczyma po szynku ich szukając. — Otóż jest — rzekł Hruzda... Kobieta podeszła sama ku niemu.

— A, i wy tu! — rzekła uśmiechając się jakby po wódce, której nigdy nie piła.

— Cóż, chłopiec mój!.. znaleźliście, jest tu? he? — począł nieznamomy.

— Gdzieby zaś miał być — żywo ofuknęła Hruzdina — po coby do miasta szedł? On napewno do gospodarza gdzieś na wieś uciekł... A coby robił tutaj? Lubił gospodarstwo biedaczyna...

— Myślicie? — zapytał kuternoga, któremu się oczy zaiskrzyły, i zdawało się, jakby ten domysł wielki ciężar zdjął mu z piersi — Hej? zdoprawdy? tak myślicie?

— Toć pewno — jęła żywo mówić kobieta — ja go lepiej znam od was, bom go przecież wychowała... Jemuby do miasta iść i w głowie nie postać...

— A toćby rozum miał! — odezwał się jakby mimowolnie szlachcic — No, a wszelako go szukać trzeba i tu i po wsiach, żeby marnie nie zginął...

Popatrzał jeszcze na Hruzda, który melancholiznie kieliszek obracał, i zniknął.

— Juści raz muszę wiedzieć, co za jeden i z kąd go lichy przyniosło... mruknął do żony wstając Hruzda... nie

bójcie się, głupstwa nie robię, ale pojedę za nim w ślad i dopytam z kąd jest... a co zacz, że tak talarami sypie...

— Lepiej byś siedział... co ci tam — zawołała Hruzdina... Stary wszakże uparty, biczysko pochwycił, babę popchnął i wyszedł...

Szlachcic, który dla kulawizny swej pośpieszyć bardzo nie mógł, jeszcze był niedaleko w tłumie, gdy Hruzda czapkę nałożywszy na uszy za nim się wysunął. Wziął go więc na oko i nie dając po sobie poznać, że za kimś goni, w ślad poszedł zdaleka. Opodał wprawdzie, ale nie tracąc go i chwili z oczów, dostał się Hruzda na Wesołą... Tu stał i jego wózek z koniem pod opieką sąsiada... łatwo mu więc było, napatrzywszy, do której gospody wszedł szlachcic, przygotować się do jechania za nim, gdyby wyruszyć miał z miasta. Dobrą jednak godzinę zmarudził czekając, nim się znowu ukazał... a był nie sam... z zajazdu wyruszyła naprzód bryka kryta, dostatnia, koźmi czterema zaprzężona, z woźnicą i węgrzynkiem na kozłach, potem dopiero kuternoga na swoim wózku... Chłop miał wątpliwość, czy bryka z wózkiem stanowiła jedną czeredę, ale właśnie na wyjeździe wychylił się mężczyzna z wąsami ogromnymi do pasa z owej bryki, zagadał coś do szlachcica, który czapkę podniósł, wskazał mu coś ręką i ruszyli. Bryka i wóz należały więc do siebie, Hruzda wolniej trochę powlókł się za nimi.

Aby mnie tylko zdaleko nie zaprowadzili — rzekł w duchu... a no, wiedzieć taki potrzeba, z kim się ma do czynienia, choćby też dzień stracić przyszło...

Za miastem bryka poszła tęgiego kłusa... chłop zaciął konia... zostawał jednak dobrze w tyle... i na pierwszej mili z oczów ją stracił... Za karczemką nastał mrok, wszedł się dowiedzieć, którądy bryka z wozem poszła, bo się tam właśnie drogi krzyżowały, nikt jakoś ich nie widział. A że dzień był targowy, po drodze kolei i kutyh śladów mnóstwo... Hruzda zmiarkował, że z tego nic nie będzie... a pogoń na chybił trafił byłaby daremną. Przeklął więc utrapionego kuternogę, zapił wódką sprawę i do domu nawrócił, trochę zawstydzony... Z tego błąkania się zyskał tylko, że nad ranem dopiero zhasawszy konia w domu stanął i na pańszczyznę już wyjść nie mógł... Babę znalazł już przy garnkach odmawiającą pacierze ranne... i milczący powlókł się na swój siennik, przyznawszy, że nic nie wskórał. Włodarzowi trzeba było dać kurę w podarunku, aby do dworu za opuszczoną pańszczyznę nie skarżył. Tak się to jakoś upiekło...

— Zjesz licha! — rzekł uparty Hruzda — byleś mi się drugi raz nawinał, będę ja wiedzieć teraz, jak ciebie wytropić... poczekaj!!

(Ciąg dal. nastap.)

O BERŁACH KRÓLÓW POLSKICH.

Na chwile w życiu narodów, które się nigdy nie zacierają w pamięci, a do których w każdej cięższej sytuacji myśl człowieka patrioty ciągle się odnosi. Do chwil właśnie takich należy początek i upadek każdego narodu. Naród dotknięty nieszczęściem, dopatruje w swoich społecznych zawiązkach ostatecznych przyczyn niedoli, lub w rozmyślaniu swych narodzin politycznych szuka ulgi na cierpieniu. W rozważaniu zaś upadku rozbiera każdy moment swej działalności, i pyta barw i przekonań owych czasów: czy nasze życie zamarło na wieki? Jeżeli który naród, to my bez wątpienia zostajemy w podobnej sytuacji.

Związek nasz polityczny, społeczny, osłoniiony wzorzystemi szatami poezyi, jakkolwiek nie potrafi nam wytłumaczyć naszego skonu, to przecież łagodzi nieco bolesne jego chwile, i zdaje się przemawiać głosem uroczystym proroka: Czekaście, a imię wasze zasłynie od morza do morza! To też sądzę, że nie będzie od rzeczy w chwili, kiedy cały naród zawrzał chęcią odrodzenia się przez pracę, postawić pewne kółko publiczności około szczegółów, towarzyszących naszym narodzinom społecznym i historycznemu pochodowi w dziejach ludzkości.

Kiedyśmy runęli politycznie, kiedy rozgłos naszego upadku rozbiegł się po Europie obojętnie i prawie niepostrzeżenie, wtedy insygnia krolewskie, nieoszacowane przedmioty skarbcia koronnego, i dokumenty tam złożone rozbiegają się po świecie, szukając dla siebie przytułku pod strzechami rodzin i świątyń naszych, albo znajdując zniszczenie w rękach nieprzyjaciół. Od owej chwili głucho i boleśnie na naszym widokregu; oko badacza, chcące coś wysłedzić, obracać się musi po krańcach Europy i tam dopatrywać jakiegoś szczegółu naszego życia. Europa jest jakby pobojuwiskiem naszym, gdzie trzeba szukać okruszyn i resztek broni, pancerzy, pergaminów itp. przedmiotów, na których się osnuł jaki wypadek historyczny lub opięła maleńka nić tradycyi narodowej, do złożenia różnowzorzystej mozaiki z naszej działalności. Muzea więc berlińskie, paryzkie i wiedeńskie są posiadaczami wielu i bardzo szacownych naszych zabytków przeszłości. Mówić dzisiaj zadawalniająco wobec wymagań nauki o zabytkach naszej przeszłości, szczególnie o tych, co pochodzą ze skarbcia koronnego, jest niepodobna; dlatego też kreśląc niniejszych słów parę o berłach królów polskich, mam nadzieję, że łaskawy czytelnik uwzględni położenie badacza i przebaczy usterki, pochodzące z braku odpowiednich materyałów.

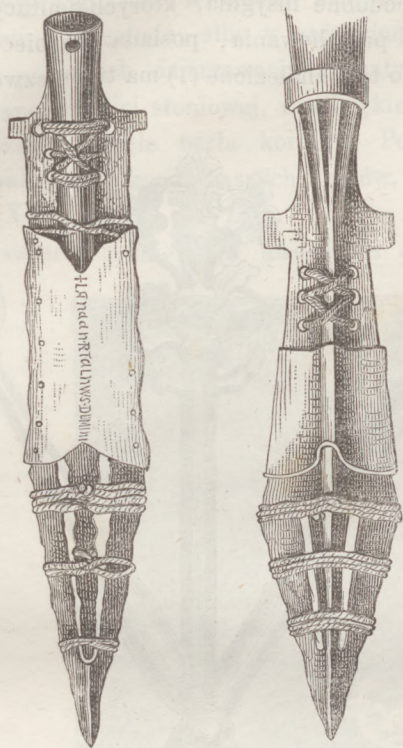
W średnich wiekach, kiedy od władzy papieżów i cesarzów rzymskich zależały wszystkie państwa Europy,

kiedy od owych dwóch osobistości kaprysu zawisło uznanie, lub nie, nowowzrastającego państwa, było zwyczajem tych władców rozdawanie miecza św. Piotra, włóczni Chrystusa lub św. Maurycego, robionych na wzór oryginałów dla panujących i narodu. Posiadanie włóczni, udzielonej przez papieża lub cesarza, było oznaką i niejako uprawnieniem do dzierzawienia władzy. To też ubiegano się za temi godłami we wszystkich krainach cywilizowanej Europy. Z pomiędzy wielu włóczni, jakie posiadają różne narody, włócznia św. Maurycego, złożona w skarbcu katedry na Wawelu, sięga dalekiej przeszłości.

Wzmaganie się potęgi cesarstwa rzymskiego przed i za Ottona III. było niebezpieczne dla władzy papieskiej, wzrost bowiem cesarstwa osłabiał wpływ stolicy apostolskiej na europejskie dzierzawy. Było więc polityką kościoła, aby osłabić władzę świecką cesarzów, a żadna może chwila nie była o tyle dostępną dla przeprowadzenia planów polityki apostolskiej, jak wiek X. Stulecie owo poruszyło do działania historycznego prawie wszystkie ziemie słowiańszczyzny. Nowogród, Kijów, Gniezno i Kruszwica są ogniskami rozbudzającego się życia w słowiańszczyźnie. Stolica przeto apostolska bierze za narzędzie dla siebie ten objaw życia, koncentrujący się około Gniezna, do obalenia władzy cesarstwa. Trzeba też przyznać, że myśl owa udała się znakomicie kościołowi. Mieczysław I., powiedziałbym lisim zmysłem polityka, korzy się przed margrabiami niemieckimi, a poza maską pokory zrzuca z siebie wpływy germanizmu i przygotowuje otwarte pole dla działań syna Bolesława Chrobrego, którego wstąpienie na tron było stanowczem i jedynem do wypowiedzenia zawisłości wobec germanizmu i do objawienia życia pełnego znaczenia politycznego.

Wiadomem jest z dziejów świata, że idea każda do urzeczywistnienia się używa zawsze człowieka za swoje narzędzie. Święty Wojciech, rodem z Czech, zamordowany w czasie apostołowania przez Prusaków, zostaje świętym dla polityki papieskiej. Otto więc III., 15letni podówczas młodzieniec, z natchnienia władzy apostolskiej odbywa pielgrzymkę do grobu swego nauczyciela św. Wojciecha. Pielgrzymka też owa do Gniezna jest wielkiego znaczenia historycznego dla Polski. Tam Otto III. w czasie biesiady wkłada swoją koronę na głowę Chrobrego, przypasuje do boku dzielnego monarchy Ponadwarcia miecz, zwany później szczerbcem, i równym sobie uznaje Bolesława. Tym więc sposobem akt uznania niezależności Polski wobec germanizmu został spełniony. Dla potwierdzenia zaś niejako owej chwili a raczej czynu, Otto po powrocie do swoich dzierzaw przysłał włócznię św. Maurycego.

Bolesławowi Chrobremu, która prawie nic się nie różni od innych, a nawet od wiedeńskiej, której kopią z XVI. wieku posiada Muzeum Archeologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Włócznia Św. Maurycego.

W szczycie jej znajdują się dwa otwory wąskie, w rodzaju okienek gotyckich, przewiązane w trzech równoległych oddaleniach żelaznym, kręconym drutem. Środkową część żełęczka obejmuje skówa miedziana, połączana grubo. Wierzchnia część osady włóczni jest wyrazisto a liniasto żłobiona, a nad temi zaś pręgami krzyżują się podwójne, plecione druty żelazne, uwadniające niejako wzmocnienie osady. Długość żełęczka wynosi 0, 5. metra.

Czy Otto III. posiadał włócznię św. Maurycego, czy ją mógł darować Bolesławowi Chrobremu, i czy rzeczywiście ta, którą widzimy w skarbcu katedry na Wawelu, jest darowaną przez Ottona III. Bolesławowi Chrobremu, pytania te na ich korzyść z całą erudycją badacza rozwiązał hr. A. Przeździecki w rozprawie o włóczni św. Maurycego; dlatego też po szczegóły tej rzeczy odsyłamy ciekawego czytelnika do owej rozprawy, zamieszczonej w tomie II. Biblioteki Warszawskiej za rok 1861. Tutaj zaś to tylko możemy nadmienić, że takie świadectwa, jak: Gallusa i Godziszława Baszkona z XII. wieku, Jana Dombrówki z XV., Długosza, Miechowity, Gwagnina, Kromera, Herburt, Wójka z Węgrowca z XVI. stulecia, i wreszcie z XVII. wieku Jana Leszcza dziejopisa pruskiego, Jakóba Schiefuss'a i Fryderyka Luca szląskich kronikarzy, do-

statecznie przemawiają za autentycznością włóczni św. Maurycego i jej pochodzeniem z rąk cesarza Ottona.

Tak tedy, w owym zabytku przeszłości, posiadamy najszacowniejsze i pierwsze godło naszej władzy nad wyradzającą się społecznie częścią słowiańszczyzny zachodniej IX. i X. wieku. Włócznia św. Maurycego towarzyszyła nam przez całe pasmo dni dziejowych, była świadkiem tak uroczystych i wielkich działań Polski, jak nieszczęście i skonu. I dzisiaj, kiedy jesteśmy rozerwani na części, Opatrzność każe wierzyć rozdartym w przyszłość, bo nam zostawia najwyższy symbol naszej władzy i panowania. Mimowolnie nam się tu nasuwa analogia władzy naszej politycznej z władzą moralną i duchową. Kiedy bowiem pierwsza upadła, kiedy nieprzyjaciele sądzą, że ze złamaniem ciała, złamali i ducha narodu polskiego, wtedy druga występuje na widownię dziejową, i wywiera swój wpływ zbawienny na dalekim wschodzie Europy, jakby gotując przyszłe ustalenie się pierwszej...

Z kolei rzeczy wypada nam teraz mówić o berłach innych, a mianowicie tych, które należały do dyademów królewskich. Jeżeli się dało powiedzieć słów parę o włóczni św. Maurycego, owem najpierwszem berle polskiem, natomiast o berłach, chowanych przy koronach w skarbcu koronnym na Wawelu, zaledwie zdolni jesteśmy uczynić małą wzmiankę. Jedyne źródła do historii skarbcza koronnego są dzisiaj lustracye, i to w bardzo małej liczbie. Z kilku też owych lustracyi, i to dosyć późnych, bo najdawniejsza, jaką znamy, pochodzi z r. 1590, mamy jakieś wyobrażenie o skarbcu koronnym, co należał przez artystycznej wartości przedmioty i bogactwo do najpierwszych skarbców Europy. Ponieważ zaś każda z takich lustracyi nie ocenia przedmiotów pod względem artystycznym, ale się ogranicza na ich gatunkowo-summarycznym spisie, więc też niepodobna dać dzisiaj więcej szczegółowego i wyczerpującego orzeczenia o którymkolwiek z przedmiotów. Przyczynia się tem więcej do owego niedostatku zginięcie, a raczej rozdrapanie skarbcza koronnego przez Prusaków w czasie ich gospodarowania w Krakowie od r. 1794, 15. czerwca—do 1796, 5. stycznia, tj. do oddania grodu Piastów Austryakom. Dla tych przeto powodów ograniczymy się jedynie na słowach lustracyi.

Jakkolwiek mieliśmy w skarbcu koronnym siedm koron, bo: Chrobrego, królowych, węgierską, szwedzką, moskiewską, homagialis i funeralis, to przecież lustracye przekazują nam zaledwie cztery berła, oprócz włóczni św. Maurycego. Pokazuje się z tego, że nie każda korona miała swoje akcesorya. Z tych berel jedno szczerolote, na sztyfcie żelaznym, pod gałką zdobne trzema tabliczkowatemi dyamentami, z których jednego już nie widzimy w lustracyi z r. 1669. Prócz dyamentów, zdobyły jeszcze owe berło w górnej połowie topaz, szafir i szmaragd; u dołu zaś trzy małe rubiny. Szmaragd jednak zo-

stał skruszony pomiędzy rokiem 1669 a 1730. Drugie berło złote od korony węgierskiej na szyfcie żelaznym kończyło się w szczycie koroną liściastą.

Dalej berło srebrne, pozłacane, znacznie większe od innych; a naostatek również srebrne pozłacane, uwieńczone koroną, która już w r. 1669 jest wyszczerbiona. Oto i wszystko, co możemy powiedzieć o berłach królów polskich, o berłach stanowiących własność narodu, a złożonych w skarbcu koronnym w trzech dolnych salach Wawelu, od strony południowej.

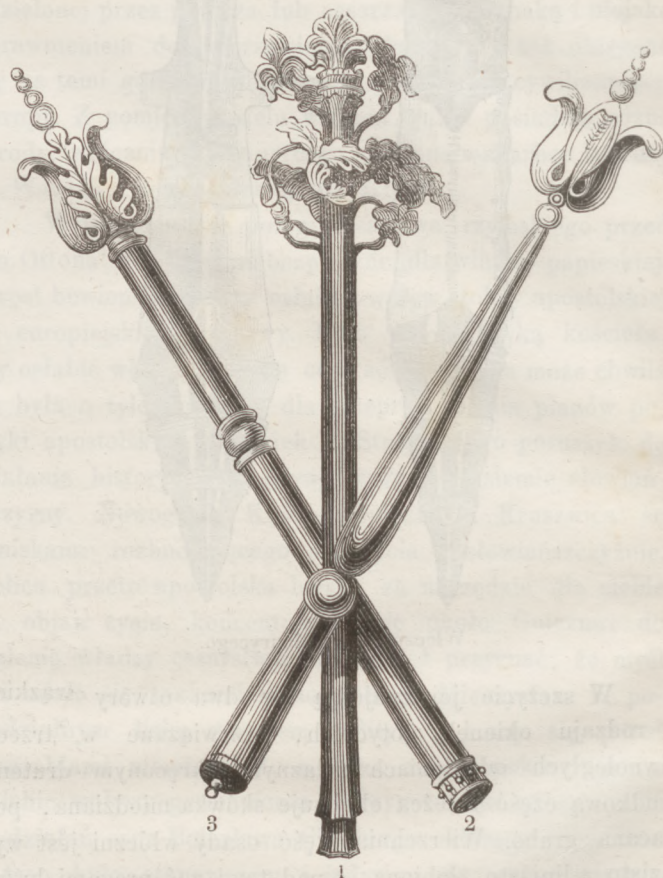
Może nas tu kto zapyta, dlaczego przedmioty skarbcza koronnego, a tym samym i berło przepadły tak, że i śladu po nich nie zostało, i chociaż je wprawdzie zagrabili Prusacy, toć przecież ślady owej grabieży pozostać musiały. Odpowiedź na to pytanie bardzo prosta. Jestto bowiem w naturze człowieka, że kiedy go spotka nagle i niespodziewane nieszczęście, czuje się wtedy jakby nie w swojej atmosferze, nie dowierza sam sobie, chodzi pomiędzy znanymi dawniej przedmiotami, jakby pomiędzy obcymi i nieprzyjawnymi. W stanie takiej obojętności na wszystko i obawy przepędza niekiedy dość długą chwilę, nim przyjdzie do siebie, nim zacznie działać, zanim sobie zdoła wytłumaczyć, że cios jaki go dotknął, odwrócić się nie może, i że musi go przenieść i wytrwać w nim aż do końca. Szczegóły, towarzyszące nieszczęściu, pognąbnią się często w niepamięci, a tylko główna rana trawi jego serce. Też same fazy psychiczne odbijają się na całym narodzie.

Chwila naszego upadku, chwila rozdarcia na długo... wyrzyła głębokie ślady na ogóle, naród czuł się wtedy nieprzytomnym. To też i dziwić się nie możemy owym czasem, że skarbiec tak pilnowany niegdyś, prawie niepostrzeżenie został złupiony przez nieprzyjaciół. Najbliżsi bowiem tych czasów nic, a przynajmniej bardzo mało wiedzieli o tym wypadku. Nawet nasz stary i posiwiwały Kraków, co za Jagiellonów imponował Polsce bogactwem i ludnością, posiadał wtedy zaledwie 5,000 ubogich mieszkańców, chroniących się w niedowalonych domach Wierzyńców i Witstosów... Niepodobna więc było szukać ludzi w tej garstce żebraków, mimo nawet grona profesorów Uniwersytetu, również ugodzonego ciosem rozbioru, kiedy wszystkie potężniejsze umysły, jak np. Jan Śniadecki, ukrywają się po zaciszach wioskowych...

Jakkolwiek to może będzie nie na miejscu wprowadzenie obecnie berła, dawanych do grobów królewskich, jednak to czynimy ze względu, iż z takich berła jedno zaledwie posiadamy, kiedy innego rodzaju mamy ich kilka.

Jest zwyczajem i to powszechnym ludzkości ubieranie zmarłego w szaty odpowiednie do godności i stanowiska, jakie on zajmował w społeczeństwie. Przeszłość też nasza, uświęcająca wiele tradycji i zwyczajów powszechnych, dała nam wyraźne owego zwyczaju świadectwa. Dawano

bowiem do grobu panującym naszym korony, berła, jabłka, łańcuchy i inne oznaki godności monarszej, które najczęściej robione z miedzi a złożone, bywały wykonywane już to na wzór dyademów skarbcza, już według oryginalnej formy. Niedawno, bo w r. 1869 wydobyto z grobu Kazimierza W. podobne insygnia, których imitacją, robioną umyślnie dla przechowania, posiada skarbiec wawelskiej katedry. Berło tam znalezione (1) ma trzon czworograniasty



ku górze zwązający się, którego szczyt składają liście, zdaje się liliowe, ułożone wedle smaku ostrołuku XIV. wieku. Po insygniach znalezionych w grobie Kazimierza W. widzimy, że Piastowie byli chowani nader skromnie i ubogo. Owe insygnia np. były miedziane i tylko pozłacane, a zdobne sztucznymi kamieniami.

Jeżeli Piastowie i królowie elekcijni Polscy są bardzo biednie ubrani do grobu, zato Jagiellonowie szczytają się wielkimi bogactwami w insygniach, łańcuchach i pierścieniach, o czym świadczy rewizya przedsięwzięta przez Czackiego z polecenia sejmu w r. 1791 w trumnach Jagiellonów. Przedmioty tam znajdujące się, oprócz wartości materyalnej, odznaczają się wysoką artystyczną doniosłością, która świadczy wymownie o estetycznych a wielkich pojęciach ówczesnych czasów w Polsce. Chętego się szczegółowo obznajmić z przedmiotami, w jakie przybierano umarłych królów, odsyłamy do publikacji Niem-

cewicza, Ambr. Grabowskiego i Mączyńskiego, rozrzuconych po różnych czasopismach.

Z porządku rzeczy wypada nam mówić o berłach pokojowych, stanowiących prywatną własność panujących. Berła takich używali panujący w czasie działań mniejszej wagi politycznej, jak w chwili przyjmowania poselstw, występowania w sejmie, albo w załatwianiu sądów i przejazdach po swoich dzierzawach. Bywały one najczęściej wykonywane z kości słoniowej, a wdziękiem artystycznym przewyższały o wiele berła koronne. Pokojowych berła przechowało się kilka do naszych czasów, i to przeważnie z końca XVII. wieku.

Z czasów pamiętnego uwięzienia Jana Kazimierza

Jedno z tych berła (2) było formy prostej i gładkiej. Na lasce bowiem, zwężającej się ku górze, i zdobnej w dolnej części trzema liniami wypukłemi, z których środkowa prawie trzy razy szersza imitowała sadzone w pewnych przedziałach kamienie, i przeciętej w pośrodku podobnemi trzema liniami, rozwinęły się cztery liście dębowe, które ze znacznej wypukłości od podstawy, a raczej nasady, zwężając się znacznie ku szczytowi, przybierają postać rozchylającego się pączka róży, a może więcej tulipana. Z pomiędzy zaś tych liści wybiegają cztery gałki, zmniejszające się stopniowo, a ułożone na sobie w linii pionowej. Drugie berło (3) ma charakter zupełnie inny. Dzieli się ono na dwie połowy. Pierwsza



Młoda para (str. 74.) — Rysunek K. Młodnickiego.

we Francji przez Ludwika XIII., pozostało kilka przedmiotów ze skarbca koronnego i insygniów królewskich pokojowych w kraju nadsekańskim. Jeden z tych przedmiotów, że tu wspomnę, krzyż jerozolimski, stanowiący główną ozdobę skarbca francuzkiego, Jan Kazimierz przekazał testamentem opactwu w St. Germain des Prez, inne zaś dostały się Francji prawem spadku po śmierci owego monarchy. I tak Dom. Boullart w dziele swoim: Histoire de l'abbaye Royale de St. Germain des Prez wspomina nam, między innymi, o dwóch koronach srebrnych, połączonych i podobnych dwóch berłach, do nich należących, które były prywatną własnością króla opata.

z nich dolna, jestto walec wynoszący $\frac{1}{4}$ długości całego berła, zamyka się w podstawie kulą, na której osadziły się dwie pomniejsze; druga zaś część buzdyanu również formy walca, ale stożkowato zaokrąglonego w grubej części, kiedy cieńszą zamyka kółko, powyżej którego na małym walcu jest osadzony kielich cztero-liściastego i mocno rozchylającego się tulipana. Całe liście berła, jak i cztery gałki ponad nie wybiegające, są dosyć grube, gładkie bez żadnych wzorzystych zacięć. Obiedwie zaś części berła łączy proporcjonalnej wielkości kula, osadzona więcej na mniejszej połowie.

O przedmiotach, pozostałych po Janie Kazimierzu

we Francji, a temsamem i o berłach, możemy powiedzieć, że ich wartość artystyczna nieszczególna, właściwa czasom XVII. stulecia, a bogactwo materyalne prawie żadne w stosunku do przedmiotów skarbcza koronnego. Wyjątek tylko stanowi pod ostatnim względem krzyż jerozolimski o wybitnych cechach bizantyńskiego stylu. Powiedziałbym, że jest w nich z jednej strony paralella zepsutej sztuki przedmiotów bizantyńskiej a siedemnastowiecznej formy, z drugiej zaś kontrastowość w przepychu i bogactwie pierwszych, jak np. krzyża, a ubóstwie drugich kazimirovskich. W każdym jednak razie są one dla nas ważne,

bo rzucają pewne światło na ogół przedmiotów skarbcza koronnego. I wtedy tylko moglibyśmy poznać dostatecznie jego dzieje i wartość artystyczną, jeżeliby znane nam były, chociaż z podobnych zapisków jak Bouillarta, kosztowności i sprzęty, pochodzące ze skarbcza koronnego, a rozrzucone, jak błędne ogniki albo sieroty, po szerokim świecie Europy, a kto wie, może nawet i Ameryki...

O berłach pokojowych z XVIII. wieku, ważnych ze stanowiska sztuki, a które posiadamy w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, pomówimy inną razą.

FR. KSAW. MARTYNOWSKI.

M Ł O D A P A R A .

I.

Przed ołtarzem, z jasną twarzą,
Przy kochanym swym młodzieńcu,
Stała dumna, z mirtów w wieńcu,
Słyszając, jak zazdrośnie w koło
Ludzie gwarzą.

Ni ją wieniec ukłął w czoło,
Ni na stopniach się potknęła,
Ni złą ręką stułę wzięła;
W białej sukni i w rumieńcu
Szła przez kościół z jasną twarzą
Z mirtów w wieńcu.

Godyż były! gody były!
Nie słyszała kapel dźwięku,
Tak ją uniósł młodzian miły,
Na miłośnem ręku;
Świat się kręcił przed oczami;
W upojeniu i bez lęku,
Już widziała po za mgłami
Jutro z kwiatem szczęścia w ręku,
Jutro — po za mgłami!

Przyjechali goście późno,
Goście dziwni...
Z feldjegerskim dzwonkiem luźno
Przyjechali,
Oj młodego wywołali
Ci przeciwni,
I młodego nie oddali
Goście dziwni!...

Uciał skrzypek w pół mazura nutę:
Pękła kwinta i ucihła z drzeniem;
Pannę przeszedł ostry mróz z płomieniem;
Stanął wiwat w gardle cnej drużynie;
Wśród głębokiej słyhać ciszy,
Jak feldjegra dzwonek słuch rozdziera,
Tłucze sercem, niby za pokutę,
Coraz ciszej rusza się i żali,

Brzęczy... już ledwo dyszy
I zamiera
W śnieżnej dali...

II.

Wiatr pochyła suchy wrzos i krzaki,
Jałowcowi rozczochrał czuprynę;
Płyną niebem chmury ciężkie, sine,
Suną ziemią jeńce i kozaki.
Biała ziemia od stóp się czerwieni
Czasem.
Przystanęli bledzi i znużeni
Pod lasem.

— Wiejże, wietrze! gryz zębaty mrozie,
Białe ciało gryz wypiastrowane,
Płataj krucze włosy nieczesane,
Zimną wargą serce moje całuj,
Tylko mego miłego się żałuj!
Oj miłego, com poszła za niego,
W dobry dzionek, z wesolutką twarzą,
W białej sukni i w rumieńcu
Z mirtów w wieńcu,
Słyszając, jak zadrośnie ludzie gwarzą...

Tak szeptała kobieta cichutko,
Własną pierśią grzejąc męża łono,
W dal żrenicą patrząc rozognioną.
Nie usłuchał prośby mróz surowy
Tylko luty wichur się rozczulił,
Wielkim płaczem zawył po pustyni:
Śnieg jak piasek spada brylantowy
Na małżonków pomartwiałe głowy,
W puchy swoje ciepło ich otulił...

Próżno zgraja kozacka wrzask czyni,
W ślubnem łożu spi, wolna od Cara,
Pełna rzewnej skargi i wymowy
Młoda para!...

WL. ORDON.

JAN LEWICKI.

Nar. 1803, zamordowany w Paryżu 1871.)

Do licznych ofiar niesłychanego w dziejach ludzkości barbarzyństwa, jakiego dopuściła się rzeczpospolita Thiersa na ludności paryskiej, żadnego udziału w bratobójczej walce nie mającej, należy Jan Lewicki, jeden ze znakomitych artystów naszych, starzec 68letni, zamordowany przez żołnierstwo wersalskie 25. maja 1871 roku.

Zebrawszy niektóre szczegóły jego życia, mianowicie chwil ostatnich, udzielam ich czytelnikom „Strzechy.“

Jan Lewicki urodził się 1803 roku w Krakowie, nad Wisłą. Nauki pobierał w Krakowie w liceum św. Anny. Udawszy się następnie do Warszawy, tam poświęcił się zawodowi artystycznemu z zapałem, cechującym prawdziwy talent.

Mimo to, kiedy Polska w nocy 29. listopada 1830. wezwała dzieci swoje do skruszenia moskiewskiego jarzma, Lewicki rzucił pendzel i rylce, aby z równym zapałem za broń pochwycić. Jakoż zaciągnąwszy się do 8. pułku piechoty liniowej, z nim całą odbył kampanią.

Po upadku powstania poszedł na tułactwo. Zabiwszy parę lat w Sztrasburgu i tyleż w Nancy, osiadł ostatecznie w Paryżu 1840 r., gdzie postanowił służyć sprawie ojczystej talentem, jakim go natura obdarzyła. Wziął się więc do pracy, którą ułatwiły mu nagromadzone w tej stolicy świata bogactwa sztuki. Obudzał ducha narodowego i karmił go, przedstawiając narodowe pamiątki i domowe obyczaje, już to olejnymi obrazami, już to rycinami na miedzi, stali, drzewie i kamieniu.

O tych patriotycznych jego pracach dał już nam wyobrażenie Ferdynand Chotomski. Z mojej strony dodam kilka wiadomych mi szczegółów.

Jeszcze przed powstaniem 1830. dostarczał on litografij do pisma Kolumb, wydawanego w Warszawie przez Michała Dembińskiego. Na tułactwie między wielu innymi przedstawił: Obóz Polaków i Węgrów pod Wiedniem; Prozbę świętych i błogosławionych Polaków do Bogarodzicy; wydał: Album polonais, Album des costumes polonais anciens et modernes, pierwszy tuzin Starych facecyi, między którymi odznacza się: Odpust w Sohaczewie i t. p. Dostarczał drzeworytów do kilku dzieł, mianowicie do Bożych słów do ludu polskiego i Słów prawdy dla ludu polskiego, jako też do Tygodnika ilustrowanego Ungera.

Ale imię jego stało się dopiero głośnem po całej Polsce przez ilustracye do Pamiętników Paska. One mu zjednały zaszczytne miejsce w nielicznym gronie ry-

towników naszych. Było ich 16 tablic, rytych na miedzi (miedziorytów). Wyjeżdżając do Portugalii przerwał wydawnictwo.

Niektóre jego prace jeszcze nie wydane, pozostały w rękę żony, jak np. Powieszenie Wyszkowskiego w Warszawie 1865 r.

Artyści nie zawsze pojmują, a raczej nie chcą pojmować ducha wieku. Lewicki miał głębokie przekonanie, że demokracja jako idea polska i zarazem idea wieku, potarga więzy, jakimi Polska i ludzkość jest skępowana. Z takim przekonaniem wstąpił do towarzystwa demokratycznego polskiego i czynny w pracach jego brał udział. Piękne drzeworyty do dwóch publikacyj tego towarzystwa: Bożych słów i Słów prawdy, jemu winniśmy. Przedstawiają one: Bartłomieja Głowackiego, któremu po zwycięstwie Raclawickiem Kościuszko przypina szlify oficerskie; Jana Kilińskiego, odbierającego przysięgę od spiskowych warszawskich, męczarnie Szymona Konarskiego, Teofila Wiśniowskiego w więzieniu, i rozstrzelanie Antoniego Babińskiego.

Ale to było przyczyną, iż nie znalazł mecenasa. Skromny, ale nieugiętego charakteru, nie chciał schlebiać dumie panów; nie doznał więc od nich żadnej pomocy i zachęty. Szedł o własnych siłach.

To jeszcze było przyczyną, iż przed dwudziestu laty doznał prześladowania, na jakie wystawieni byli polscy demokraci za rządów Napoleona III. Wkrótce po 2. grudnia 1851 r., policya dowiedziawszy się, iż książki i papiery I. N. Janowskiego, najniewinniej wydalonego z Paryża i Francji 1849. r., znajdują się u Lewickiego, wysłała kilku nastu drabów, którzy wśród głuchej nocy napadli na jego mieszkanie, zabrali wspomniane książki i papiery, a jego samego uprowadzili do więzienia (conciergerie). Pani Lewicka (Katarzyna z Janiszewskich) z obawy, aby męża, jak tyle innych, nie wysłano do Kajeny, po rządach albowiem takiego jak Napoleon nikczemnika wszystkiego można się było spodziewać, omal nie dostała pomieszania zmysłów. Po dwóch tygodniach, ponieważ w papierach Janowskiego nie takiego nie znaleziono, coby mogło demokratów polskich kompromitować, Lewicki uwolniony został; zagna jego żona długo jeszcze na okropny ból głowy cierpiała. Ale jakaż policya na takie zważa drobnostki?

Lewicki wszakże unikając ich, szukał spokojniejszego schronienia, i znalazł je w Lizbonie 1853 r. Tam, za staraniem zostającego w wojsku portugalskiem pułkownika inżynierii, Chełmickiego, otrzymał posadę nauczyciela ry-

sunków topograficznych na kamieniu, przy instytucie geograficznym rządowym, a raczej posadę dyrektora osobnej niejako szkoły tych rysunków. Położenie jego było korzystne i przyjemne z powodu szacunku, jaki sobie umiał zjednać swoim talentem, pracowitością i łagodnością charakteru.

Po sześciu latach pobytu w tem mieście, opuścił je, czułą po sobie zostawiwszy pamięć; a korzystając z pozwolenia powrotu do kraju, udzielanego emigrantom po pokoju paryskim 1856 roku, wrócił i on do Warszawy. Przed wyjazdem, w nagrodę położonych u rządu portugalskiego zasług, ozdobiony został krzyżem wojskowym Zbawiciela.

Przybywszy do Warszawy 1861 r., z nowym zapałem na ziemi ojczystej, poświęcił się swojej sztuce, dostarczając rysunków do pism czasowych ilustrowanych. Urządził przytem zakład fotograficzny.

Przyszedł rok 1863. Lewicki nie mógł pozostać objętym widzem usiłowań, które mu przypominały młodość, a z jego wiarą polityczną tak zgodne były; ale siły wiekiem osłabione (miał już wówczas lat 60) nie dozwalały iść w pole, znosić trudów wojny partyzanckiej, pod którymi młodzi upadali. Przyszedł więc w pomoc powstaniu dostarczaniem mu potajemnie rysowanych map topograficznych. Te roboty odkryto. Trzeba było opuścić Warszawę lub iść na Sybir.

Znowu więc wrócił do Paryża, gdzie doczekał się 1871 roku. „Czego nie zdołali zrobić Moskale — pisze jeden z jego przyjaciół — tego dokonali Francuzi.“

Wrócił bez żadnych zasobów, przez nagły albowiem wyjazd z Warszawy stracił swój zakład fotograficzny, w który włożył był wszystkie wieloletnich prac swoich oszczędności, tak że dziś wdowa, pozbawiona tych nawet nędżnych zasiłków, które rząd wersalski naszym weteranom, jakby na szyderstwo, rzuca (20 fr. na miesiąc!), w najopłakawszym jest stanie.

Zdrada, której napróżno rząd ten szukał między naszymi, otworzyła mu bramy Paryża. Sto kilkadziesiąt tysięcy wojska uderzyło na trzykroć słabsze siły powstańców. Zwycięstwo nie mogło być wątpliwe. Rząd wszakże wątplił, kiedy nie wahał się użyć barbarzyńskiej broni terroryzmu, tej broni, która przed dwudziestu laty obaliła rzeczpospolitą, a cesarską koronę dała wiarołomnemu jej prezydentowi. Jak wówczas tak i teraz mordowano bez względu na stan, wiek i płeć, winnych i niewinnych,

pojedynczo i tłumami całemi; winnych i niewinnych pędzono jak bydło do Wersalu, a ztamtąd na wagonach dla bydła przeznaczonych wywożono na zabójcze pontony.*)

Było to 25. maja 1871 roku o południu. Pułk 354, pod dowództwem generała Faro, napada na dóm, przy ulicy Crillon Nr. 3. położony naprzeciw szpichlerzów (greniers d'abondance), które zamierzali podpalić powstańcy z rozpacz do szaleństwa przywieźni. Mieszkańce chronią się do piwnicy. Żołnierze wyłamują drzwi, każą mężczyznom pojedynczo wychodzić i każdego wystrzałem à bout portant (przykładając broń do piersi) przyjmują. Było ich ośmiu. Wszyscy polegli, a między nimi i nasz Lewicki.

W kilka godzin potem, około 7mej przechodzące wojsko oznajmiło oficerowi, iż między trupami na ulicy leżącymi jest jakiś człowiek ze śmiercią się pasujący, któremu należałoby skrócić męki konania wystrzałem w ucho (coup de grace). Był to Lewicki. Oficer polecił zanieść go do szpitalu Hôtel-Dieu. Mimo prośb konającego, aby go do mieszkania żony odniesiono, i kilku kobiet na klęczkach za nim proszących, rozkaz wykonany został.

Nieszczęśliwa żona o niczem nie wiedziała. Piątego dopiero dnia właścicielka domu, w którym morderstwa te popełnione zostały, przyszła do niej z wiadomością, iż mąż jej żyje i jest w szpitalu Hôtel-Dieu.

Po najusilniejszych staraniach, ledwie nazajutrz pozwolono żonie odwiedzić konającego męża.

Pięć kul przeszło go na wylot, szóstą ugrzęsła w ciele. Poznał jednak żonę, ale zaledwie można było zrozumieć jego mowę. Wspominał, że ich wszystkich, o nic nie pytając, rozstrzelano à bout portant. Przypominając sobie pożary w mieście: „myślałem — rzekł — że już upieczoną zostałam.“ Język miał czarny, pragnienie wielkie; prosił o limoniadę, której chętnie się napił. Pytał odchodzącej żony, kiedy przyjdzie, miał bowiem nadzieję, tyle żyć, iż będzie mógł jeszcze raz ją zobaczyć; ale kiedy mu żona powiedziała, że z powodu trudności w wyrobieniu pozwolenia nie przyjdzie jak za dni parę, zwątpił, aby ją mógł zobaczyć. Jakoż tegoż dnia 30. maja, ciągle wspominając żonę, umarł przed północą.

Cześć jego pamięci! Hańba jego mordercom! Ślepym narzędziom można jeszcze przebaczyć, ale nie ma przebaczenia dla tych, co rozkaz mordowania wydawali.

WIKTOR HELTMAN.

*) Według raportu ministra wojny przesłuchano do 5 sierpnia 4262 oskarżonych, między którymi okazało się 1835 niewinnych. Jest to blisko połowa. Wyroki liczbę niewinnych zwiększą zapewne. „Jedyną ich winą, mówi Dziennik Poznański, było to, iż mieszkali w Paryżu w czasie panowania komuny.“

SZKICE MYŚLIWSKIE UKRAINY

Z NATURY PRZEZ
BERLICZA SASA.

IV.

Wezwanie Muzy na pomoc.

Tryumf Tarasa. Dziedzic Napadówki.

Muzo! Muzo! naucz proszę,
Jak się mam godnie wysłowić?
Myśli nie mam za trzy grosze,
I rym się nie daje złowić!
Ja chcę śpiewać o Tarasie,
A ty drzemiesz na Parnasie!

Wiem, że Taras mój nie stoi
Na równi z mężami Troi;
Że Ajaksy, Achillesy,
Eneasze, Ulisseszy,
Agamemnony, Hektory,
I Priamy, i Nestory
Więcej znaczą na Parnasie...
Gdzie nie wiedzą o Tarasie...
Lecz co było, nie powróci!
Wiek ubiegły już nie wróci.
Ten świat ciemny i zamarły
Karmi tylko płazy, karły!
Był olbrzymi, upadł nisko
I przemienił się w mrówisko!..
Spuść i ty z twojego tonu,
Stara Muzo Helikonu!
Nie masz lutni? weź cymbały!
Dla mojej wystarczą chwały.
W nagrodę, za czyn pomocy,
Wdzięcznym będę z całej mocy,
A że hojność u mnie wielka,
Obiecuję pół rubelka.

Nie tak dawniej było, kiedy
Lutnię enocie poświęcano!
Muza czystą była wtedy,
Ołtarze dla niej stawiano.
Z piętnem niebianki na skroni,
Budząc złotej liry brzmienia,
W nieskalanej niosła dłoni
Jasną pochodnię natchnienia.
Śpiewał Orfej, głos Safony
Lesbijskie ożywiały skały,
Świat harmonią ożywiony
Chlubnemi istniał zapaly;

Natchnionej promień Hellady
Starość Homera ogrzewał,
Gdy szczytny Epos Iliady
Pokoleniom przyszłym śpiewał.
Dziś... niestety! Olymp pusty!
Hippokreny zdroj wysycha!
Bezgłośnemi prawie usta
Muza coś tam bąka zcicha;
Straszą ją kraty, wrzeczadze,
Stara, chciwa i plugawa,
Laur sprzedaje za pieniądze,
I nie rozumie co sława!

Otóż tedy... gdzie stanąłem?
A wiem teraz, wiem: kozaka,
Zwycięzcę wilka biedaka,
Ciasnem opasano kołem.
Gwarem pochwał usta brzmiały,
I wieś cała i dwór cały
Skwapliwie się tutaj zbiegły,
Wybrzeże stawu zaległy.

Wtem krzyknięto: „Z drogi! z drogi!
„Nasz pan jedzie!“ Chłopi w nogi,
Rozbiegli się w różne strony,
Jak piasek wichrem niesiony.

Był to dziedzic Napadówki,
Lipowca marszałek dawny,
Tuszą ciała, sprytem główki,
Uprzejmością swoją sławny.
Miał on jeszcze inne cechy
Nie męskiej wcale natury,
Lubił piernaty, bebechy,
Kleiki rosółki z kury.
Nie pił wódki ani wina,
Nie wyłączając węgryzna.
Łasy na żeńskie łakotki,
Z gustami niegodne męża,
Lubił komeraże, plotki,
I na widok bladł oręża;
Czy krucica, czy armata,
Równe dlań powody trwogi,
Od wystrzału na kraj świata
Machnąłby nieborak w nogi.

Słowem, wierny typ Nababa,
Takiej miękkości i tuszy,
Kutał się, pieścił jak baba,
Latem w szubę lał po uszy;
Choć wspaniałego był wzrostu,
Za to sercem nader drobny,
Ot tak sobie, był poprostu
Człowiek do wielu podobny.

Według swojego zwyczaju
(Ten sam w styczniu co i w maju)
Jechał w niedźwiedziach, na głowę
Nasunął czapkę bobrową,
Szyję obwinął tyftykiem,
I powitany okrzykiem
Całego myśliwych koła,
Z miną wielkiego Mogola
Dotoczył się aż do brzegu
I konie zatrzymał w biegu.

Gdy biednego wilka zoczył,
Mało z dróżki nie wyskoczył,
Aż mu w oczach pociemniało
I dreszcz zimny przebiegł ciało.
„Co tu robi ten zwierz dziki?!
„Zmiłujcie się wszak pokąsa!
„Czy widzicie, jak się dąsa?
„Ryskować nie ma loiki!“

„Wstydz się, wstydz się, panie Janie!
„Wszak wilk biedny na arkanie“
Mówi doń Kozłowski — ale
Nie uspokojony wcale,
Z pod kołnierza swych niedźwiedzi
On nieśmiało zyrka, śledzi,
Pomału szubę odchyła,
Ostrożnie głowę wychyla,
W końcu sile przekonania
Ulegając twarz odsłania,
I już, i już błysnął światu
Całą pełnią majestatu;
Spokojniejszy, wszystkich wita,
Zwykłym dowcipem rozkwita,
Sypie garści wieści, gadek
I zaprasza na obiadek.

V.

Pan Jan Przyłuski. *)

Pan Przyłuski, tak go zwano,
Przeszedł już wieku południe;
Na życiu było nie rano,
I starości wiały grudnie.
Białym szronem posrebrzony
Włos, gdzieniedzie się przerzucał,
A że jeszcze szukał żony,
Wielce on się tem zasmucał.
Codzień tedy cny kalennik,
Napadowiecki Figaro,
Wierny Bachusa zwolennik
I wychudły jak sygaro,
Musiał tkwić z urzędu nosem
W głowie pańskiej ranek cały,
Walczyć z każdym siwym włosem;
A był to kłopot nie mały!
Bo czart panem wtedy miotał;
Burzliwie i niespokojnie
Zżywał się on i szamotał,
Klął i szturkał sługę hojnie;
Tak pozostać młodym wiecznie
Chciało się jemu koniecznie!
I tak się gniewał na losy
Że mu posrebrzyły włosy!
Przy takim stałem dążeniu,
Szukać szczęścia w ożenieniu,
Czemuż do tak późnej mety
Samotnie dożył, niestety!?
Wszak przystojnym był za młodu,
Bogatym, pięknego rodu,
Wysokie miał parentele,
Społecznych stosunków wiele,
A do tego polor świata,
Układ polskiego magnata
Pelen uprzejmej powagi,
A więc wpływu i przewagi?...
I staranne wychowanie
Przebijało w panu Janie.
Różnych nauk okruszyny,
Młodzieńczych mozołów szczytki,
Resztki greczyzny, łaciny,
Osnowy czegoś i wątki,
Estetycznych pojęć normy,
Zaczerpnięte gdzieś za młodu,
Wszystko to, bez tła i formy,
W lenistwie nikło bez płodu.
I w muzyce mógł celować;

Nie brakło jemu zdolności,
Lecz nie chciało się pracować,
Mozolić się jegomości.
W ciągu roku kilka razy
Ledwie dotknie fortepiana;
Wtedy z pod rąk pana Jana
Bieży, lekka i bez skazy,
Fiorytura jakaś żywa;
Albo się dźwięcznie odzywa
Jakiś motyw Rossiniego
Z Cyrulika lub Otella.
Zaczął, nie skończy żadnego;
Chwyta temę z Paësiella:
„Nel cor piu non mi sento“;
Z Mozarta: „Dolce contento
„Che soare zephiretto“
Tupnął nogą — woła: „Nie to!“
Palnął akord i zaczyna
Z Portogalla: „Son Regina!“
Znowu urwał, rznie con brio
Z poloneza jakieś trio,
Temę z wariacyi Rodego,
Aryą z Frejszyca Webera,
Nieco z Fielda, Belliniego,
Cimarozy, Mejerbera,
I ćwiertuje motyw tkliwy
Z Testa di bronzo, Sollivy!

Jak w nauce i muzyce,
Tak i w mnogiem nasz bohater
Często uchybiał loice,
Zmienny, porywczy jak wiater.
Dziś na toku, na oborze,
Gdzie arfują, młocą zboże,
We młynie, stajni, wozowni,
W kuchni, spiżarni, lodowni,
Wszędzie nosa swego wściubi,
Wykpa, naklnie i wyczubi.
Jutro i całe tygodnie,
Rozwaliwszy się wygodnie,
W swym fotelu gnuśnie siedzi,
Przez okno wygląda, śledzi,
Albo tonąc w idealach
O niebieskich śni migdałach;
Układa jakieś zamiary,
Myślą goni jakieś mary,
By ich wdziękiem opromienić
Samotności swojej mroki,
I próżności cel wysoki
Z nadzieją serca ożenić.

Tym celem próżności była
Świetna partya, połączenie
Z domem bogatym w znaczenie
I w pieniądze, i w tytuły.
Ciągłe się jemu roila
(Patrzcie go, Adonis jaki!)
Możność, złączyć zysk trojaki:
Serca. dumy i szkatuły!
Nieustannie mozgownicę
Suszył wyborem jałowym,
Każdą wdówkę lub dziewicę
Badał rozbiorem surowym;
Ta za wielka, ta za mała,
U tej nos za nadto krótki,
Kibić nie dosyć wspaniała,
Wzrok wietrznicy i filutki.
Tamtą świeża, hoża, miła,
Wdziękiem, rozumem czaruje...
Pan Jan sam to widzi, czuje;
Żeby go uszczęśliwiła...
Lecz cóż? kiedy nie wiekowy
Za świeży klejnot herbowy,
Karmazyna nie ma w rodzie,
Imię nie głośne w narodzie,
I posag nie milionowy!

Gdy się tak wahał i drożył,
Chwile biegły, biegły lata,
I siwy się włos rozmnożył,
I młodość poszła do kata!
Późno myśleć o hymenie,
Późno — bo nacóż się przyda?
Przespał snem Epimenida
Pan Jan swoje ożenienie!
Gdy się zbudził, dzwon zegara
Bił wieczorną dni godzinę!
I uludy próżna czara
Stała przed nim! i swą winę
Poznał za późno, niestety!
A kiedy zawołał: „Gdzie ty?
„Gdzie ty młodości kochana,
„Tak bez sensu zmarnowana?!“
Głośnem ozwała się echem
Przeszłość, i szyderezym śmiechem.
Długo wołały obszary:
„Późno! późno szukać pary!
Myśl o śmierci, jużes stary!“
Straszna, lecz słuszna przestroga!
Odtąd nim boleśnie miota

*) Było o nim w mojej Ukrainie.

Naprzemian rozpacz, tęsknota,
Rozczarowanie i trwoga.
Myśl o śmierci dlań katuszą.
On żyć pragnie — trwożną duszą
Cierpienie każde spotyka.
Brzuch zabolął? on już leży,
Wyobraża, że umiera;
Wnet goniec za gońcem bieży
Po Rosenberga*) Elsnera,
Hejna, Placera, Malika,
I po Nótkę cyrulika.
Chory zżyma się, napina,
Jęczy, krzyczy w niebogłoso,
W domu gwałt i bieganina,
Aż powstają dybem włosy!
W tem doktory nadjechali,
Z pacjentem się przywitani,
Puls koleją pomacali,
Coś tam z sobą pogadali,
I w końcu zdecydowali,
Że pacjent zdrowszy od byka,
Sądząc z pulsu i języka,
I że warto mu za karę
Krwi upuścić funtów parę.

VI.

Pan Jan myśliwych ugaszczą.

Po długiej, długiej gawędzie,
Którą wybaczenie laskawie,
Czy nie czas powrócić będzie
Do Tarasa, co przy stawie
Dzierząc wilka na arkanie,
W mokrych spodniach i żupanie,
Głodny i plugawy błotem,
Czei wieśniaków był przedmiotem?

Skoro cny dziedzic odjechał,
Tryumfem rogi zagrzmiały,
Ku Tarasowi podjechał
Kozłowski, a z nim huf cały:
„Gracko bratku! do stu katów!
„Oto masz kilka dukatów.“
I czynem sprawdziwszy słowa
Krzyknął: „Z wilkiem do Zozowa!“
Sam puścił się ku dworowi,
Gdzie pan Jan czekał z obiadkiem,
A myśliwi kozakowi
Sypią tymczasem ukradkiem,
Kto czem tylko był bogaty,
Miedź i srebro i dukaty,

*) Fakultet naszej okolicy.

Lecz cichaczem; bo inaczej,
Gdyby to Kozłowski zoczył,
Niewinnej skórze kozaczej
Strasznąby sprawę wytoczył.
Już u ganka — zleźli z koni,
Pan Jan czule gości wita,
Przyboczna myśliwych świta
Została w sieniach przy bronii.
W jadalnej, paradnej sali
Stół nakryty już zastali.
Obrus cienki, jak śnieg biały,
W arabeski, kwiaty tkany;
Na nim, nie szkło, lecz kryształy,
Nie fajans, lecz porcelany;
Z dewizami flasze wina,
Ustawione symetrycznie,
Płoną, dalipan, prześlicznie
Ogniem złota i rubina.

Już niosą kamerdynery
Koniaki, wódki, likiery;
Na ogromnej tacy jedzie
Różnych zakąsek družyna:
Cebulką zaprawne śledzie,
Masło, rzodkiewka, wędlina,
Smaczne sardynki, ozory,
Pieprzne minogi, kawioiry,
Sérów wonnych karawana,
Szwajcar, holender, strachino,
Czester, rywal parmezana,
Brie, grujera, co tak słyną;
W końcu jeszcze jakieś wino,
Krambambuli, marezkino,
Kiurassao, et caetera;
Reszta w pamięci zamiera.

Dla żołądków, co od ranka
Kilka godzin bez ustanka
Na koniu się tarnosiły,
Był to widok arcy-miły.
„W to nam graj!“ — rzekli myśliwi,
Posilić się wielce chciwi;
I czareczkę wychylili,
I do szturmów uderzyli.
Wódki już mężnie wypite,
Wały jadła już zdobyte,
Baszty sérów dosyć długo
Odpierały gwałt napadu,
Lecz już wzięto jedną, drugą,
Wszystkie! Séra ani śladu!

Tak niegdyś mury Sewilli
Padły w moc synów Kastylli;
Tak na Bizantyjskie ściany
Szły do szturmów Ottomany.

W tem donośnie zawołano
Hasło — „Do stołu podano!“
I nagle się ukazała
Processya okazała:
Kuźma z wazą szedł na czele
(Baldachina brakowało),
Ztyłu, z boku wiele, wiele
Liberyi asystowało.
Dopelnion akt uroczysty!
Waza na stole spoczęła;
Spadło wieko, i rzęsisty
Vivat! kompania wrzasnęła.
Chłodnik! chłodnik! jeszcze jaki!
Nie dla zamorskich kiszeczek!
W nim ogórki i buraki,
Rakowych siła szyjeczek;
Różnobarwna mozaika
Kraśni białe tło śmietany;
Polak tylko wart chłodnika,
Dla Niemca klejek owsiany!

Zjedli, nic nie zostawili,
Rzekłbyś, wymyte talerze;
Potem się winka napili
(Rzecz tu idzie o maderze),
Każdy z łowców po kolei
Rzuca słówko, i dokoła
Gawęda bieży wesola
O wilku, rudzie i kniei.
Ten chartów czyni wynosi,
Ów za gończych głos podnosi,
Ten w obronie staje szczwacza,
Inny gani dojeżdżacza;
I o strzelcach różne zdania:
Paweł chwali, Piotr przygania,
Trzeci faktami dowodzi
I opinie sprzeczne godzi.

Aż tu nowy cel baczenia
Zajął gości pana Jana:
Smaczno, wystawnie podana
Jedzie huzarska pieczenia,
Krucza, soczysta, rumiana
I długim sosem zalana.
Ledwie się z nią rozprawili

I chcąc uczcić specyał taki,
Kielich wina wychylili,
Znowu noszą na odmianie
Pachnącą parą owiane
Staropolskie nasze flaki.
Flaki! co w sarmackim kraju
Już od Piasta we zwyczajach,
Co miłe i wojewodzie
I szlachetce na zagrodzie!
Co ze zrazami i kaszą,
Z węgrzyna starego fłaszą,
Tak przeszłość cechują naszą,
I ztąd miłsze nam (fakt znany)
Niż zamorskie marcypany.

W tem jak deus ex machina
Mikołaj Przyłuski wpada.
Postać pańska, dzielna mina,
Twarz sercowość zapowiada.
I na ustach, i w zrenicy
Dobroduszny uśmiech świeci,
Naiwny jak u dziewicy,
A spokojny jak u dzieci.
Znać tej duszy nie zamąca
Żadna namiętność burzliwa;
Cicha gdyby toń drzemiąca,
Prostotą swoją szczęśliwa,
Weselem opromieniona
Dla wesela żyje ona.
Nasz Mikołaj nie asketa,
Dewotyzmem nie celuje,
Nie odmówi w post kotleta,
I kapłona skonsumuje.
Lubi łąkocie, słodycze,
Tańce, hulanki, swawole,
Wdzięki niewieście, dziewicze,
I lampę wina przy stole.
Bez figielka ani stąpi,

Bez facecyi nie przemówi,
Zato dla nędzy nie skąpi,
Bliźnich nie lży, nie obmówi,
Zdradą, podstępem nie grzeszy,
I fanaberyą nie śmieszę;
Słowem, nie zepsuty wiekiem,
Pozostał zacnym człowiekiem.
Któż go nie znał? nie miłował?
Nie naśmiał się z nim do woli?
Kto w pamięci nie dochował
Niewinnej jego swawoli?
Wszelkiej pychy był on wrogiem,
Nie lubił blasku, wystawy,
Nie gonił za winem drogiem,
Wykwintnej nie szukał strawy.
Bronzy, marmury, mahonie,
Zbytki wyśmiewał, lecz zato
Lotne miał ogary, konie,
Piwnicę w starą bogatą,
Kucharza (cny Anastazy),
Co wyborne robił zrazy,
Żelazną hreczaną kaszę,
Przesławne bigosy nasze,
Kluski z serem i pierogi,
Jakich nie jadały bogi.
To mi kuchnia! — ej do kata!
Na wspomnienie ślinka ciecze!
A przyjaciół miał pół świata!
Bo serdeczność serce wlecze;
Wołyniaci, Podolanie,
Ukraińcy, druhy jego;
Czy gdzie jarmark, polowanie,
Bał — smutno bez Przyłuskiego!
On zaśpiewa i naplecie,
Porwie skrzypceczkę i wali!
Sercowości doda fecie,
Mazura jak młokos pali,
Starość swą w powietrzu nosi,

Tnie hołubce, spiewkę huknie,
I w cześć Kasi, czy tam Zosi
Tańcząc kielich wina stuknie.

Dziedzicem Zamczyk niedawno
Był Starosta Wessel, stary,
Z pobożnością starodawną
Łączył on wysokie dary
Serca, pełnego prawości
I chrześcijańskiej miłości.
Ztąd ogólnie poważany
Między szlachtą, między pany.
W domowym życiu zachował
Praojców zwyczaje stare,
Hojnie gością podejmował,
Spełniał z nim serdeczną czarę;
Nosił kontusz i wyloty,
Ślucky pas, z czerwienią złoty,
Karabelę w dni galowe,
Żółte buty safianowe,
I kołpak nawet soboli,
Pomyślniejszej szczątek doli.
Słowem był to (jak przed laty
Mówiono) człek dawnej daty,
Co szanować siebie umiał,
Mniej mówił niżli rozumiał,
I tylko między takimi
Jak sam ludźmi poważnemi
W chwili poufnej rozmowy
Z ust swoich zrzuczał okowy.
Wtedy stopniowo topniały
Lody starości surowej,
Coraz rzęściej migwały
Połyski iskry sercowej,
Duch wyzwalał się z ukrycia,
Dążył w pamiętek obszary,
I w cześć dawnej doby życia
Wychylano gęste czary. (D. n.)

NIESZCZĘŚLIWA.

POWIEŚĆ

PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

(CIĄG DALSZY.)

V.

Rozmowa Stelli z hrabią powiedziała jej, jak się przekonaliśmy z pogadanki jej z Marynią, to tylko czego ona domyślała się już potrosze, równie dobrze jak matka jej lub przyjaciółka, a zatem nie po-

wiedziała nic nowego. To też nie bylibyśmy jej tu powtarzali, gdyby nie to, że się w niej objawiała z czarodziejstwem prawie granicząca potęga spojrzenia Stelli.

Za czasów, kiedy w modzie były fantastyczne powieści, kiedy wszystkie potęgi, jakie stworzyła gdziekolwiek wyobraźnia, stawały posłuszne na skinienie powieściopi-



CHRYSTUS W CIERNIOWEJ KORONIE.

(Rysunek Cauera.)

sarza i utworzonym przezeń świecie dziwne wyprawiały przewroty, nie potrzebowalibyśmy wiele zachodu, aby opowiadać nasze oblec w fantastyczną sukienkę. Dośby nam było powiedzieć, że jej oczy miały moc jakąś tajemną, niby widelki nietoperzowych skrzydeł, pociągania mężczyzn za swą właścicielką i przykuwania ich do niej na zawsze. Faktem jest, że każda miłość, której Stella była przedmiotem, zaczynała się od spojrzenia, jak miłość Romea i Julii. Każdy, kto ją zobaczył, widział w pierwszej zaraz chwili śliczny posążek, zachwycał się nim, rokoszował, ale od tego artystycznego podziwu do zakochania się była przepaść. Trwało tak dłużej albo krócej, aż nareszcie raz oczy posągu zwróciły się na wielbiciela, i wielbiciel płomieniał, zachwyt artystyczny przeradzał się w namiętność, najrozsądniejszy tracił głowę, najrozumniejszy szalał, najtrzeźwiejszy zataczał się w upojeniu. Tak się urodziła miłość Ignacego, tak się zakochał Julian, a ci dwaj, których znamy, nie byli jedynymi, byli tylko ostatnimi na liście. Wielu poprzedziło ich w szeregu, a szereg ten rozpoczynał prosty jakiś wiejski chłopak, owczarek, który wyrósł na dwudziestoletniego drąga i do niczego więcej nie był zdatnym, prócz pasania owiec i przygrywania na weseliskach ludziom okolicy gromnickiej, aż po Pławice i Żółtą.

Chłopak ten nazywał się Klimek, był głupkowaty, ale grał precudownie. Jak wyciął oberka, to się czleku dusza kręciła na odsiebkę, i gdyby się uparł nie kręcić tak jak ona, toby go chyba w czworo połamała ochota.

Ten Klimek, ot zwyczajne popychadło folwarczne, niesłychanie lubił panienkę, która naówczas miała lat może trzynaście. Posłuszny każdej woli, bo własnej nie miał, szedł wszędzie i robił, co mu kazano; ale jeżeli rozkaz wychodził od panienki, która się nazywała tak dziwnie, że sobie nieraz przez pół dnia łamał głowę, z kądem się wziąć mogło takie dziwne imię, jeżeli panienka zażądała jego posługi lub muzyki, ta posługa szła tak szybko i zgrabnie, jakby się w głupowatym nagle obudziły wszystkie rozumy i zdolności, a muzyka ze skrzypek płynęła taka chwytająca za serce, że od niej już nie nogi do tańca, ale oczy zbierały się do płaczu.

Raz na wsi było wesele, Klimek grał. Panną młodą była jedna z dziewcząt, która przez czas jakiś była w dworskiej usłudze, i która tak sobie zaskarbiła serce panienki, że za pozwoleniem rodziców Stella była na weselu za druchną. Przetąpiła raz i drugi dokoła, potem stanęła przed Klimkiem, wpatrzyła mu się w oczy i rzekła:

— No, a teraz Klimku zagraj coś dla mnie.

Klimek zrazu pod jej wzrokiem jakby skamieniał, usta mu się roztworzyły szeroko, i ani słowa wymówić, ani smyczkiem poruszyć nie potrafił, lecz gdy panienka powtórzyła rozkaz, zagrał... Zagrał jakąś dumkę, którejby i sam pan organista nie spisał w nuty, chyba mu dać

do pisania kałamarz taki wielki jak chrzcielnica kościelna, i pełen łez i krwi serdecznej, nie atramentu; kobieciska płakać zaczęły, dziewczęta posmutniały, stare baby szeptały państwu młodemu straszne wróżby z takiej muzyki na ochocie, aż się starszy družba ośmielił przystąpić do panienki i kłaniając się do kolan powiedział:

— Panienko! zakażcie tak grać Klimkowi, bo jak nie ustanie, to na Szymonowem weselu więcej łez spłynie niż gorzałki.

Stella skinęła na Klimka, Klimek się skłonił, ale grał. Grał tak samo jak zaczął, jak gdyby w skrzypkach jego nie było już innej muzyki, jakby spojrzenie ślicznej panienki, wlepione w głupowatego grajka, całą wesołość i ochotę z jego smyczka wypilo.

Panienska od płaczu się zaniósła, i wyprowadzono ją z godów; Klimek został, skrzypki płakały...

Nic nie pomogły wołania, krzyki, rozkazy, szarpania, Klimek jak oczarowany wygrywał swoje. Zamiast tanu, ludziska rozweselali się gorzałką, myśląc, że głupowaty nareszcie przestanie końskim włosem z baranich kiszek rozdzierające jęki wydobywać i nogi im na nowo do hołubców rozrusza... Ale gdzie tam! Pierwsza baryłka już wysączyła ostatnią kroplę, z czoła Klimka pot płynął, a on swoje i swoje.

I nie przestał dopóty, dopóki jeden z bardziej podochoconych, a rozgniewanych oporem, nie przyskoczył do grajka, nie wyrwał mu skrzypek, w które diabeł chyba jakiś się zakradł, i nie rozbił mu ich o głowę...

Klimek spadł z ławy krwią zalany. Nic mu się nie zrobiło straszego, ocucono go prędko i krew obmyto, ale odtąd już nie był głupowatym tylko głupim formalnie... Codziennie rano znajdowano go pod oknem Stelli wpatzonego w szyby jak w tęczę, codzień spędzany z tego stanowiska, milcząc odchodził do lasu, ażeby w nocy znów powrócić... Z nikim nie gadał, nikogo nie słuchał, zdawało się, że z całej mowy zostało mu tylko jedno słowo:

— Panienska!..

Po kilku dniach pokazano go doktorowi, doktor go kazał odwiedzić do szpitala, a ze szpitala już nie wrócił więcej do Gromnic; i nikt już potem nie mówił o nim Stelli, która prędko zapomniała o biednym Klimku, i której oczy, nie wiedzące zupełnie, jakiego narobiły nieszczęścia, tak samo jak przedtem brylantowym świeciły blaskiem...

Od owego Klimka po kolei Stella sobie wszystkich zdobywała oczyma; czyż więc nie godzi się powiedzieć, że w jej spojrzeniu zaklęta była jakaś cudowna, pełna demonizmu siła?

Żyjemy dzisiaj w zbyt prozaicznych czasach, aby nasi czytelnicy poprzestać mogli na tem, do potęg innego świata apelującym objaśnieniu; dlatego postaramy się, o ile

umiemy, ten czar tajemniczy rozłożyć na zwykłe, znane całemu światu pierwiastki.

Stella była piękna, tą pięknnością, która każdego uderza i w każdym podziw artystyczny budzi. Piękność ta sama przez się właśnie swoją niezwykłością i blaskiem olśniewała i odsuwała, podziw musiał być pełen uszanowania. Kto ją zobaczył, mówił do siebie: „Jakże szczęśliwym będzie człowiek, co to cudne dziecko posiędzie“, ale mu nigdy nie przychodziło na myśl, że tym szczęśliwym może być on sam.

Na wybranych z pomiędzy takich wielbicieli niemych, oddalonych, nie śmiejących niczego się spodziewać, padało wtedy spojrzenie Stelli i jakby odmieniało nagłe całą ich istotę.

Co im przed chwilą zdawało się niepodobnem, teraz przedstawiało się możebnem; sądzili, że świat cały powinien im zazdrościć tego, czego przed chwilą jakimś nieznanemu szczęśliwcowi zazdrościli; stawało przed nimi, schodziło, zstępowało do nich to, co przed chwilą widzieli na jakimś niedostępnym piedestale.

Jakież pierwiastki w spojrzeniu Stelli mogły sprawować tę metamorfozę?...

Nie czary, nie zakłete szatanki, kąpiące się w pigmencie żrenic, nie wpływ gwiazdy, pod którą przyszła na świat, jednym słowem nie żadna z tych fantastycznych potęg, którym niegdyś przypisywano moc tak stanowczego oddziaływania na ludzi i na ich losy.

Nie, nie to wszystko.

W spojrzeniu Stelli było trochę nadziei, trochę wyzwania, spojrzenie to było... wypowiedzmy nareszcie... było zalotnem, zalotnością nieświadomą samej siebie i przez to właśnie nieprzełamanie potężną.

Aż do dnia przyjazdu Ludwika, a raczej tego wynurzenia, któreśmy powtórzyli, Stella zupełnie nie wiedziała o tej potędze swojego wzroku; podboje, jakie czyniła, pożary w sercach jakie wzniewała, przypisywała szczęściu, piękności swojej w ogóle, wpływowi tej epoki życia, którą natura sama przeznaczała na miłość. Rolę swoją we wszystkich uczuciach, jakie wzbudzała, uważała za bierną, nie poczuwała się do posiadania żadnej broni zaczepnej, a przynajmniej była sumiennie przekonaną, że nigdy jej nie użyła. Ludwik pierwszy wskazywał jej tę broń zaczepną, którą posiadała w swym arsenale, tę broń strasliwą, której pierwszy pocisk morderczy biednemu wiejskiemu chłopakowi roztrzaskał resztki słabego i wątłego rozumu, która potem spokój tylu innych zabiła, która wkońcu mogła i jej własne szczęście rozburzyć.

Wiadomość, że taką broń posiada, nie mogła zostać bez wpływu na dalsze życie dziewczyny, której się podobają, jak już wiemy, dotychczasowe zwycięstwa i zdobycze... Chwila rozmowy z Ludwikiem stała się zatem epoką w jej doli, punktem, w którym krzyżowały się drogi jej prze-

znień, i po za którym jedna z dwóch, dobra albo błędna musiała zostać wybraną.

Nic też dziwnego, że bohaterka nasza, lubo jak sama powiadała, niezdolna do cięższej myśli, przez całą resztę dnia powracała do odkrycia, jakie w słowach Sternickiego zrobiła; nic dziwnego, że w ostatecznym rezultacie tych rozmyślań powiedziała sobie:

Ha! może to i prawda, że dosyć mi chcieć spojrzeć na kogo, aby został moim na zawsze.

Poczuć broń w rękach swoich dla takiego dziewczęcia jak Stella, znaczy to mieć zachętę do jej spróbowania; gdy więc nazajutrz Julian, a następnego dnia Ignacy zawitali do gromnickiego dworu, pragnąc przed stanowczą batalią raz jeszcze obejrzeć pole bitwy i obliczyć szanse zwycięstwa, znalazło się w jej oczach dla każdego z nich zosobna tyle nadziei, zachęty i wyzwania, że każdy odjechał uszczęśliwiony i pewien, że rywala zwycięży. Tym razem magiczna siła tego wzroku wiedziała już o sobie i obliczała skutek, jaki ma sprawić, przez co straciła może nieco na uroku i poezji, bo straciła to uniewinnienie moralne, jakie ma każda nieświadoma siebie niszcząca potęga, ale zyskać tylko mogła na skuteczności i mocy.

Manewrów tych i tej zmiany w taktyce nie mógł dostrzedz naturalnie zakochany i poznający dopiero wybrankę swoją Ludwik, ale je dostrzedz musiała przenikliwością kobiecego oka, towarzyszka i powierniczka najskrytszych myśli bohaterki naszej, Marynia.

— Stelciu — zagadnęła ją — albo nie wiesz sama, co robisz, albo swawolnie igrasz ze wszystkimi, o nikim na seryo nie myśląc, coby znaczyło, żeś mi się ze swych myśli wypowiedziała nieszczerze, albo nareszcie, nie jesteś już lekkomyślna, lecz niebezpieczna.

— Nie-bez-pie-czna — powtórzyła panna Jawska — aż niebezpieczna!... to znowu nowe i wcale niespodziewane spostrzeżenie... proszę cię o motywa, Maryniu.

— Wszakże myślisz szczerze zostać... hrabiną?

— Ha! kiedy niepodobna królową ani księżną, to przynasz sama...

— Nie żartuj, rozmawiajmy choć raz na seryo.

— Ależ ja jeszcze nigdy bardziej seryo nie rozmawiałam niż dziś.

— No, więc czemu tym dwóm nieszczęśliwym nie odbierzesz odrazu wszelkiej nadziei, ale owszem tak postępujesz z nimi, jakbyś ich chciała...

Marynia zawahała się z wymówieniem wyrazu, który jej tok mowy nasuwał.

— Zatrzymać, przykuć do siebie na wieki... zgubić... dokończże raz, surowa moralistko... przecież mi to nie nowość żadna, takie z ust twoich usłyszeć kazanie — odrzekła z lekkim dąsem Stella. — Odpowiadałam ci na to, o ile pamiętam, też nieraz. Com ja im winna, że się we mnie zakochali?... com ja im winna, że się nie zapytają

otwarcie, czy w mem sercu mają wzajemność?.. Gdyby się zapytali, wtedy odpowiedziałabym im otwarcie, pierwszą przecież niepodobna mi ich zaczepiać... Com ja winna, że taki pan Ignacy nie widzi, że jeżeli jestem dla niego dobrą, uśmiechniętą, życzliwą, jestem taka sama dla pana Juliana?.. com winna, że pan Julian nie chce sobie czy nie potrafi wytłumaczyć, że postępowanie moje z nim w niczem się nie różni od postępowania z jego przyjacielem i rywalem?.. Obydwaj są tacy ślepi, że spostrzegliby się chyba dopiero wtedy, gdybym w ich obecności okazywać zaczęła wyraźnie, że pana Strzępskiego z Grządek nad nich obydwóch przenoszę.

— Ja na twojem miejscu — zaczęła Marynia. —

— Wiem, ty na mojem miejscu, tybys się i do pana Strzępskiego z Grządek zaczęła uśmiechać, aby ci dwaj panowie nie łudzili się przypadkiem jaką płoną nadzieją. Ty z twojemi zasadami, twojem sercem, stworzoną jesteś na założycielkę zgromadzenia Sióstr miłosiernych, mających za zadanie otwierać właśnie oczy kochankom bez nadziei, i zatrzymywać ich na brzegu przepaści. Ja przyznam ci się, że nie czuję tego usposobienia. Takich panów Julianów i panów Ignacych już samo Pismo święte skazało na ich smutną dolę...

Jakkolwiek poważna i wcale w tej chwili do śmiechu nie usposobiona, Marynia uśmiechnęła się.

— Pismo święte — rzekła wesoło — w którejże to księdze czytałaś?..

— W której księdze nie wiem, bom nie czytała, ale ten tekst jest wszystkim znany... Biada tym, co mają oczy, a nie widzą, co mają uszy, a nie słyszą...

— Dzielnie się bronisz, nie ma przeciw tobie argumentów, Estelko — odrzekła znów smutno przyjaciółka — ot, mówmy lepiej o czem innym.

Na tem skończyła się tą razą rozmowa dwóch przyjaciółek. Nie wiemy, czy to zauważał czytelnik, ale Marynia zrobiła sobie uwagę, że ton, jakim ją prowadziła Stella, różnił się bardzo od poprzednich z nią w tym przedmiocie pogadank. Ubyło trochę dawniejszej swobody, lekkiego, wesołego dowcipu, ubyło naiwności dziecięcej prawie, z jaką Stella śmiało i bez zająknięcia najdrażliwsze rzeczy wypowiadać była zwykła, a miejsce ich zastąpiło jakieś tłumione nadąsanie, jakaś niechęć do szerszego rozwodzenia się nad tym przedmiotem, jakiś przymus i adwokacka żyłka do usprawiedliwienia się za pomocą zręcznych lecz sofistycznych argumentów, nietylko przed przyjaciółką lecz może i przed sobą samą.

Marynia spostrzegła to, nie mogła jednak odgadnąć przyczyny, którą my z czytelnikami naszymi odrazu podobnośmy pojęli, byliśmy bowiem świadkami i słuchaczami zwierzenia, które bohaterce naszej zrobił pan Ludwik, i wiemy, że dopiero teraz Stella poczuła, iż to, co się na jej widok dzieje w sercach niektórych mężczyzn, nieko-

niecznie jest bez jego wpływu... Skutki tego magnetycznego wpływu pochlebiały jej próżności i sprawiały jej przyjemność; rady Maryni zmierzały do tego, żeby się tej przyjemności wyrzekła; ona przywykła już do odbierania hołdów, czuła się niezdolną do tej ofiary, której wymagała z wielką siłą przekonywającą Marynia, której potrzebę i obowiązek prawie, wskazywało jej z jeszcze większą niż Marynia wymową jej własne sumienie. Trzeba było te dwa głosy przyciszyć, trzeba się było usprawiedliwić przed niemi, a przynajmniej zmusić je do milczenia... Ztąd poszło rozdrażnienie Stelli i jej argumentacja sofistyczna.

VI.

Przy miłym towarzystwie, rozrywkach, swobodzie od trosk i kłopotów, kiedy i niebo samo uśmiecha się i sprzyja planom wszelkich wycieczek, zabaw i rozrywek, ten sam tydzień, który dla ludzi smutnych i zbolełych bywa niekiedy długim jak połowa wieczności, z błyskawiczną szybkością przemija. Cały ten tydzień Sternicki spędził w Gromnicach, które codzień to Julian to Ignacy nie spotykając się z sobą nawiedzali, nie licząc innych gości, pojawiających się także prawie codziennie. Szczęśliwym był pan Damian Jawski, mając pod ręką admira-tora i znawcę wszystkich swoich pomysłów i projektów; szczęśliwą była pani Jawska, marząc o zięciu z koroną dziewięcioperłową dla córki; szczęśliwą Stella zjawieniem się ideału i poznaniem potęgi swego spojrzenia; szczęśliwymi wreszcie trzej konkurenci, dla których wszystkich śmiała się z oka Stelli nadzieja.

Tylko w życiu Maryni nic się nie zmieniło przez ten tydzień, tylko ona jedna nie miała żadnego szczególnego powodu do szczęścia, i tylko też dla niej siedm dni, co się na ten przeciąg czasu składały, nie były dłuższe ani krótsze od innych życia tygodni. Dla wszystkich innych ten czas, którego Stwórca miał dosyć, ażeby świat cały wyprowadzić z niczego, przebiegł tak szybko, że gdy przypadkiem w rozmowie zdarzyło się, że pan Damian rzekł do pana Ludwika, iż nie stracił czasu, bo w ciągu jednego tygodnia poznał wszystko, co było godniejszego zobaczenia w okolicy, Sternicki z najlepszą w świecie wiarą, przekonany, że jeszcze trzy dni nie ubiegły, zapytał:

— Jakto, panie dobrodzieju, przez tydzień?

Tak samo, gdy w wilią dnia przeznaczanego na wspólne oświadczyzny Julian spotkał się z Ignacym w miasteczku, i ktoś po za nimi odezwał się, że nazajutrz wtorek, obaj oni spojrzeli na siebie ze zdumieniem i zapytali jeden drugiego:

— Jakto, więc ten wtorek już jutro?

Ów wtorek, oktawa dnia przyjazdu hrabiego Ludwika do Gromnic, już od rana zapowiadał, że będzie dniem

uroczystym i niezwykłym. Coś świątecznego i niecodziennego było w powietrzu, jakieś balsamy wiosny zdawały się w niem rozlewać, chociaż wiosna już oddawna minęła i lato skwarem palić czaszki było powinno. Wiatr nocny zdmuchnął z liści kurz letni, by majową zabarwiły się zielenią, niebo przystroiło się w najłagodniejszy i najczystszy błękit, ptaszki w ogrodzie świegotały weselej, całemu wiejskiemu krajobrazowi przybyło niby jakieś nowe tło przeźrocystsze.

Takiem przynajmniej przedstawiało się wszystko oku Stelli, którą jakieś miłe przeczucia wcześniej niż zazwyczaj zbudziły, której pierś zapragnęła świeżego powietrza, i która razem z Marynią porannej po ogrodzie używała przechadzki, wesoła, uśmiechnięta, lekka, swobodna, szczęśliwa.

Marynia zato stanowiła żywy kontrast z swą towarzyszką. Powiedziałałbyś, że w całej naturze tego dnia była jedna tylko stroskana chmurka, i ta osiadła na jej skroni, pod złotawymi puklami blond włosów. Chmurka ta czyniła ją piękniejszą jeszcze niż była zawsze, a co wyrażała, tego ona sama wytłumaczyłaby nie mogła, ot jakieś przeczucie trwożliwe i nic więcej.

Około jedenastej, z okna panińskiego pokoiku można było dostrzedz w głębi krajobrazu, po za olszynką, wznoszący się na drodze od Pławic lekki obłoczek kurzawy... W tym samym czasie taki sam lekki tuman wznosił się na drodze od Żółtej. Następnie oba te tumany znikły po za olszowym gajem, a wkrótce potem na drodze od gaju do dworu ukazały się dwa czwórkami zaprzężone powozy...

Nie wiemy, czy z okien panińskiego pokoju patrzył kto na tę kawalkadę, ale to pewna, że z okna pierwszego piętra, gdzie miał swój gościnnie apartament, przyglądał się jej przez lunetę hrabia Sternicki, że skinął na swego służącego i wydał mu jakiś rozkaz, i że zaledwie dwa powozy panów Ignacego i Juliana zajęchały przed dwór, zajęchał także trzeci powóz, nie zaprzężony czwórką, ale elegancki i wygodny zarazem, a czytelnikom naszym już od tygodnia znajomy.

Z dwóch powozów wysiedli dwaj szkolni koledzy, którzy dnia tego stanąć z sobą postanowili do ostatecznej walki o szczęście, z trzeciego nie wysiadł nikt.

Wszystkie trzy ekipaże pozostały przed dworem, jakby zaraz miały zabrać swych panów.

Ignacego i Juliana wprowadzono do salonu, gdzie na ich spotkanie wyszła smutna niby zwiastunka złej wieści, Marynia.

Rozmowa, jaką ci dwaj panowie zawiązali z smutną dziewczyną, była jedną z tych forsownych pogadanek, gdzie to mozolnie do pytań przyczepiają się odpowiedzi, a z odpowiedzi gwałtem wydobywają pytania, jedynie dlatego, że konwenanse nie pozwalają ludziom, którzy się

spotykają w salonie, milczeć, gdy sobie nie mają do powiedzenia, ani też mówić wielu rzeczy, któreby powiedzieć pragnęli.

W pierwszym z tych dwóch położań był pan Ignacy i pan Julian. W tym dniu dla nich obu solennym mieli oni dużo do mówienia, lecz nie Maryni. Drugą sytuacją los przeznaczył smutnej dziewczynie; mogła ona wiele powiedzieć panom Ignacemu i Julianowi, mogła im powiedzieć wszystko, czego się dowiedzieć przyjechali, a nawet może wiele więcej jeszcze, ale tego wszystkiego mówić jej nie wypadało.

Rozmawiano tedy o prześlicznej pogodzie i doprowadzono pogadankę aż do tego genialnego spostrzeżenia, że w Gromnicach słońce zawsze wschodzi od strony Pławic, a zachodzi w stronę Żółtej...

Niestety dla tego słońca, które przyświecało zarówno pławickim jak żółciańskim nadziejom, dla tego słońca, któremu Gromnice były południem, miała przyjść właśnie w tym dniu chwila ponurego zaćmienia.

Zajazd dwóch konkurentów jednoczesny i uroczysty, zapowiedział mieszkańcom gromnickiego dworu, na co się zanosili. Państwo Jawscy pobiegli oboje do Stelli, ażeby z nią odbyć naradę, gdy nagłe ukazanie się powozu Sternickiego nową im sprawiło niespodziankę.

Zeszli się dopiero w troje i słowa jeszcze nie wymówili do siebie, gdy Ludwik ukazał się na progu.

— Co znaczy, że kazałeś zajęchać, panie Ludwiku? — zagadnął go pan Damian.

— Myślisz nas pan już porzucić? — zapytała zaniepokojana i drżąca o swe nadzieje pani Jawska.

Stella milczała, ale jej spojrzenie pytające utonęło w źrenicach Sternickiego i elektrycznym prądem po wszystkich nerwach jego przebiegło.

— Czy odjeżdżam... nie wiem — odpowiedział poważnie Ludwik — zależeć to będzie od państwa obojga, a przede wszystkim od... pani.

To mówiąc ujął Stellę za rączkę, której mu nie broniła i ją pozostawiła w jego dłoni, powtrzymując nieśmiało:

— Odemnie?..

— Tak jest, panno Estello... W salonie w tej chwili oczekują na ciebie dwaj młodzieńcy, o ile ich poznać mogłem, zacni i zasługujący na szczęście, ażebyś rozstrzygnęła pomiędzy nimi, który z nich dwóch ma być szczęśliwym...

Słyszając te słowa, pozwalające się domyślać, że Ludwik tylko w roli improwizowanego swata chce wystąpić, Stelli krew stygnęła w żyłach, a matkę dreszcz przebiegła z przerażenia...

— Nim jednak zadecydujesz pani pomiędzy nimi — mówił dalej Ludwik — zadecyduj wprzód o mnie. W miłości czas nic nie znaczy. Oni mogą powiedzieć, że cię kochają dawniej, ja powiedzieć tylko mogę, że nikt odemnie nie

kocha cię pani czystsza, stalsza, uczciwsza i gorętsza miłością...

Uścisk rączki Stelli, konwulsyjny prawie, towarzyszył tym słowom, wypowiedzianym z całą salonową elegancją, a przecież pełnym głębokiego, nie dającego się naśladować i odgrywać uczucia.

Po przelotnej obawie, rozwiewającej całą jej nadzieję, nagle szczęśliwa rzeczywistość nadzwyczaj silnie wywarła na Stelli wrażenie. Usunęła rączkę swoją z ręki Ludwika i utuliła główkę na łonie matki.

Sternicki usunął się na stronę z uszanowaniem, i pan Damian, rozumiejący się lepiej na budowie młynów niż na gwałtownych wezbraniach uczucia, patrzył zdziwiony to na swojego gościa, to na wzruszoną i przejętą doznaniem wrażeniem jedynaczkę.

Pani Jawska, która przed chwilą drżała, że słowa Ludwika mogą nie zmierzać do oświadczeń, teraz tuląc do łona główkę córki nachyliła się do niej i szepnęła tak cicho, że tylko serce dziewczęcia dosłyszeć ją mogło:

— Nie spiesz się dziecko... tyś warta jeszcze świetniejszego losu.

Stella przez chwilę milczała jeszcze, potem podniosła się do ucha matki i odszepnęła:

— Nie, mammo... nie... ja go kocham.

Pani Jawska westchnęła boleśnie. Wyznanie to rozpraszało nadzieje, które kołysać zaczynała nanowo, zaledwie się jedne ziściły.

O opozycji rodzicielskiej nie było mowy. Pan Damian od pierwszego dnia zakochał się w Ludwiku; pani Jawska ubolewała w duszy nad pospiechem córki, ale zbyt ją kochała, żeby się jej oprzeć była zdolną.

— Każ pan wyprządz konie i zostań, — rzekła z westchnieniem do Ludwika.

W mgnieniu oka Ludwik był już przy Stelli, jej rączki tonęły w jego dłoniach, a jego oczy w jej źrenicach; patrzyła nań śmiało i spokojnie.

— Czy tak, Stello? — zapytał głosem drżącym od wzruszenia.

— Tak, — odpowiedziała głosem śmiałym i pewnym — tak panie...

Nieporównana uroczystość tej chwili, tego obrazu, tej sceny, do głębi przejęła wszystkich jej aktorów. W życiu jest jednak jak na scenie niekiedy. Na najwznioślejszy, najbardziej wzruszający epizod, w najszczytniejszej jego chwili zapada nagle zasłona; szczęśliwa lub rozpaczająca kochanka wydziera się z objęć swego rycerza i wielbiela, ażeby pospieszyć do garderoby i przemienić suknię albo przeczesać włosy, bo tego akt następujący wymaga, a uszczęśliwiony lub do rozpacz przywiedziony kochanek spieszy do karafki i wodą z cukrem odwilża gardło, zmęczone wygłoszeniem ostatniej tyrady, co frenetyczne wywołała oklaski.

Tak samo stało się i tutaj. Kilka chwil tylko poświęciwszy wzruszeniu, państwo Jawscy przypomnieli sobie, że oprócz nich i Ludwika było jeszcze w gromnickim dworze dwóch młodych ludzi, którzy z ust tej samej Stelli oczekiwali swego wyroku.

Intencje ich nie podlegały wątpliwości. Odgadł je Ludwik, chociaż dopiero od tygodnia bawił w Gromnicach, trudniejby jeszcze było nie odgadnąć wszystkim mieszkańcom gromnickiego dworu.

Po tem jednak, co zaszło, nie było już celu dozwalać panom Ignacemu i Julianowi na wypowiedzenie życzeń i prośb, które wynurzyć zamierzali. Grzeczność i życzliwość kazała uprzedzić ich i uwolnić od wystawiania się na nieprzyjemność nieuchronnej rekuzy. Zrozumieli to oboje państwo Jawscy od razu, porozumieli się bez słów prawie, i poszli do salonu na spotkanie gości dosyć częstych, ale którzy dnia tego przybyciu swemu cechę wyjątkowej ceremonialności nadali.

Wejście ich i pierwsze słowa powitalne dały Maryni sposobność do usunięcia się z widowni, z której smutna dziewczyna skorzystała też natychmiast.

Po powitaniu, więcej umyślnie niż z przypadku, czwórka osób zebranych w sali rozdzieliła się na dwie połowy. Pan Damian z panem Ignacym znalazł się o dzieśnięć kroków przynajmniej od pana Juliana, z którym związała gawędkę pani Jawska.

Pomimo tego rozpołowienia, rozmowy, jakie toczyły z sobą obie pary, były nadzwyczaj do siebie podobne.

— Cel naszego przyjazdu, — zaczął pan Ignacy, — tym razem jest wyjątkowy i nietrudny do odgadnięcia...

Chciał mówić dalej, ale pan Damian mu przerwał.

— Znamy się dawno, panie Ignacy — rzekł, — szanuję pana i pańskiego przyjaciela, więc po co mamy bawić się w ceremonie... Przyznam się panu otwarcie, żem się tych zamiarów domyślił...

— Więc powiedz pan równie otwarcie, co o nich sądzisz — spytał Strzyż drżący ze wzruszenia.

— Co sądzę?... dobrze... więc będę do końca otwartym. Pan Julian zamierza dzisiaj oświadczyć się o rękę mojej córki.

— Tak jest panie.

— Oddałbym mu ją, gdyby była wolną... panie Ignacy...

— Jakto?... więc?... — zająkał się biedny konkurent, nie pojmując dokładnie znaczenia tych złowieszczych wyrazów.

— Pan Ludwik Sternicki prosił dziś o rękę mej jedynaczki i otrzymał jej zezwolenie... ostrzeż pan o tem swego przyjaciela i pozostań, jak dotąd byłeś, życzliwym naszemu domowi.

Przy tych słowach pan Jawski uściśnął serdecznie dłoń Strzyża, który nie pojmuwał, co się z nim dzieje, ani wiedział, jak ma zamaskować i pokryć doznaną boleść, zawód i rozczarowanie.

Innemi słowy, ale w podobny sposób załatwiła się pani Jawska z Julianem. I jego także wzięto nie za konkurenta, lecz za pośrednika, który chciał służyć przyjacielowi za dziewosłęba, i jego także proszono, żeby ostrzegł swego rywala, że jego zabiegi spóźnione, i do niego także zwrócono prośbę, żeby dawną swoją życzliwość dla domu Jawskich zachował.

Zręcznie i grzecznie dano im dwie rekuzy tak, iż żaden nie mógł uczuć, że ją otrzymał osobiście. Nie mieli nawet powodu do odjazdu; owszem konvenanse nakazywały im pozostać. Pan Damian zdawał się żądać tego wyraźnie, bo rozmówiwszy się z panem Ignacym, opuścił towarzystwo na chwilę, wyszedł przed dwór i wydał rozkaz służbie obu rywali, aby odjechała do stajni... Pani Jawska, załatwiwszy sprawę z Julianem, zawiązała rozmowę obojętną, w której wkrótce znalazła sposobność napomknąć, że miłych gości, którzy w dniu tak uroczystym jej dom nawiedzili, nie prędko od siebie wypuści...

Wszystkie te manewry miały ten skutek, że Julian i Ignacy pomieszani, z zakrwawionemi sercami, nie mogący od razu przyjść do siebie po katastrofie, jaka ich spotkała, nie wiedząc prawie jakim sposobem, pozostali na resztę dnia w Gromnicach, aby byli niejako świadkami zaręczyn współzawodnika, którego nie domyślali się nawet, a który ich obu zwyciężył.

Do wieczora towarzystwo powiększyło się jeszcze. Przyjechał pan Strzępski dzierzawca z Grządek, człek jak już wiemy sprośnie ospowaty i z dziwnie melodyjną, skrzypienie drzwi przypominającą muzyką nosową w głosie; przyjechał pan Grywacki, dziedzic Ossówka, sąsiad Gromnic od północy, człowieczek niski, szczupły, drobniuchny, figurka niepozorna, kłaniająca się i usuwająca każdemu, ale mająca tyle w kieszeni, że wszystkich naokoło kupiaby mogła, i tyle w głowie, że wszystkich potrafiłaby sprzedać; przyjechał ksiądz proboszcz z miasteczka, sądziwy, siwy jak gołąbek staruszek, wesoly i gadatliwy, a do każdej okoliczności przypiąć umiejący jowialny dwuwierszowy improwizowany epigramacik; i w dworze gromnickim zrobiło się ludno, gwarno, a gdyby nie chmury, których z twarzy pana Ignacego i pana Juliana na żaden sposób spędzić nie było można, toby było nawet wesoło.

Nieszczęsne te chmury rzucały jakiś cień posępny na zaręczyny Stelli, na której twarzy igrał uśmiech swobody, jakby nie wiedziała zupełnie, że w tem nielicznym gronie, co ją otaczało, dwa serca dla niej się krwawiły.

Około dziesiątej wieczorem zaczęto się rozjeżdżać. Usiłowania gospodarstwa nie mogły dłużej zatrzymać gości...

(Dokoń. nastąpi.)

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów 10. marca 1872.

(Teatr i opera polska. — Ruch muzyczny w poście, a post orkiestry. — Popis p. Wardzyńskiego. — Wystawa powszechna wiedeńska i znaczenie jej dla Polaków. — Akademia techniczna i wszechnica lwowska. — Smętny ementarz.)

Od Wielkiej nocy tedy scena nasza przechodzi w ręce Towarzystwa akcyjnego teatralnego, czyli raczej tymczasowo w ręce pierwszych założycieli tego Towarzystwa, między którymi znajduje się Nestor sceny lwowskiej, Witalis Smochowski, a któremu też rada założycieli powierzyła pełnomocnictwo co do złożenia nowego towarzystwa scenicznego. Już pisma codzienne doniosły o zaangażowaniu pani Aszpergerowej, państwa Nowakowskich i Woleńskich tudzież Linkowskich, jako o fakcie dokonanym; drogą szeptów zaś doszliśmy do wieści bodaj prawdziwej o pozyskaniu przez Towarzystwo panów Rapackiego z Warszawy i Ładnowskiego z Krakowa dla przyszłej sceny lwowskiej. Mielibyśmy więc istotnie świetną scenę, gdyby te wszystkie doniesienia i pogłoski ziściły się chociażby w większej części! Ciekawem jest nadto, kto się nam ostatecznie po owych miesięcznych wersjach, oświadczeniach i zaprzeczeniach co do objęcia dyrektury przez Jana Królikowskiego, powodujących dzienniki tutejsze do zawziętej polemiki, odsłoni i przedstawi jako dyrektor zreformowanej sceny lwowskiej? A nadzwyczajnej doniosłości jest w oczach naszych okoliczność, komu kierownictwo tą sceną powierzonom zostanie, w dyrektorze bowiem szukać będziemy rękami przyszłości tej sceny, w inteligencji i odpowiednim doświadczeniu jego upatrywać miarę dobrej woli komitetu Towarzystwa akcyjnego dla celów sztuki ojczystej. Wszak każdy zgodzi się z nami, że artystyczny kierownik sceny powinien być mistrzem, starszym kapłanem tej sztuki, powinien być duszą Towarzystwa scenicznego i światłem dla uczniów. Pan Jan Królikowski, posiadający w całej pełni te przymioty, jest też zarazem jedynym może mężem, któremu z całym zaufaniem losy sceny lwowskiej powierzyćby można.

Towarzystwo objąwszy teatr skarbkowski, nie zapomniało też i operze polskiej, a tym celem członek komitetu założycieli p. Stanisław Niedzielski, znany śpiewak opery, zajął się wyszukaniem rozprószonych po całym świecie śpiewaków Polaków i zjednaniem ich dla młodej opery lwowskiej. Zadanie nadzwyczaj trudne, jeżeli zważymy szczupłość zasobów finansowych Towarzystwa w stosunku do olbrzymich wymogów utrzymania dobrej opery w mieście niezamożnem, jak Lwów. Z tem wszystkiem nie wątpimy wcale, iż przy staranności zarządu z jednej strony a dobrych chęciach publiczności z drugiej, z czasem stanąć może dobra opera we Lwowie, do czego nie mało też

przyczynić się może skuteczniejsza niż dotąd działalność naszego Towarzystwa muzycznego, mianowicie pod względem kształcenia głosów.

W tych dniach właśnie odbędzie się walne zebranie członków Towarzystwa muzycznego, które ostatecznie rozstrzygnie i załatwi sprawę rezygnacji artystycznego dyrektora i Wydziału, tudzież — o ile spodziewać się tego mamy prawo — przedsięwziąć nie omieszką reform wymienionych w ostatnim sprawozdaniu naszym. Wyrażając ponownie najserdeczniejsze życzenie pomyślnego dla celów Towarzystwa rezultatu tego walnego zebrania, zapiszemy tu jeszcze tylko kronikarskim sposobem, że wieczorki Towarzystwa, najmilsze i pełne pociągającego uroku odbywają się nieprzerwanie co czwartku w sali zakładu Ossolińskich i potrważą do wielkiego tygodnia. Koncert winno nam jeszcze Towarzystwo...

W ogóle skąpo w tym roku (jak na porę postną) raczy nas Muza dźwięków. Oprócz wieczorków Towarzystwa muzycznego od czasu do czasu da się słyszeć w kasynie mieszczańskim fortepian lub tercet smyczkowy — orkiestralnej produkcji zaś nie mieliśmy wcale w poście. Liczymy zatem tem więcej na Towarzystwo muzyczne, że bodaj w wielkim tygodniu urządzi nam wspaniałe „Stabat mater“ — w kościele, a swoją drogą w sali ratuszowej, jako koncert.

Młody uczeń sceny warszawskiej, pan Wardzyński, który z powodzeniem na scenie tutejszej grał rolę Ferdynanda w „Intrydze i miłości“ Schillera, niedawno popisywał się tu deklamacją w osobno urządzonym wieczorku, i zebrał szczerą oklaski publiczności, której sympatyą zjednał był sobie już poprzednim występem. Znawcy gratulują młodemu artyście niepospolitych zasobów uczucia i siły głosu, owych materyałów, które zużytkowane umiejętnie, zapewniają aktorowi powodzenie.

O dorocznej wystawie sztuk pięknych głucho dotychczas... a należałoby dyrekcji wczesnymi ogłoszeniami przypominać się artystom i zachęcać ich do wzięcia jak najwyższego udziału w tej wystawie. Przy tej sposobności niech nam wolno będzie zwrócić uwagę artystów polskich, mianowicie malarzy i rzeźbiarzy, na przysposobianą właśnie wystawę powszechną wiedeńską, odbyć się mającą w roku przyszłym, a której komisya osobna dla Galicyi została już zamianowana i zalicza w swem gronie między innymi także dwóch artystów tutejszych, pp. Filippięgo Parysa i Grabowskiego Jędrzeja. Zdaje się nam, iż w interesie narodowym Polaków byłoby wzięcie jak najwyższego udziału w wystawie, na której wszystkie cywilizowane ludy szczyć się będą płodami pracy swojej i ducha — powiemy więcej, że w mniemaniu naszym Polacy bardziej nawet niż inne narody, ze względów politycznej natury, wyzyskać powinni jak najpilniej nadarżającą się sposobność zamanifestowania zebranemu na wystawie takiej światu całemu moralnej udzielnosci i niepożytej siły ducha polskiego, sposobność przypomnienia się narodom w równości i braterstwie złożeniem świadectwa nieprzerwanego stosunkami politycznymi udziału rąk polskich w czynie cywilizacyjnym. Dzienniki donoszą już zresztą o objawionej gotowości naszych artystów do udziału w przyszłorocznej wystawie wiedeńskiej; tak mianowicie spotkaliśmy się w ostatnich dniach z miłą nowiną, że malarz warszawski p. Brand pracuje nad wielkim płótnem, przeznaczonem na tę wystawę, a mającem

przedstawić obraz historyczny „Odsiecz dana Wiedniowi przez Jana III.“ — zkądną zaś dowiadujemy się o kompozycyi rzeźbiarskiej utalentowanego ucznia szkoły monachijskiej p. Tadeusza Wiśniowieckiego, przedstawiającej „Kościszkę“ w odpowiedniej symbolicznej grupie, również na powszechną wystawę wiedeńską przeznaczoną. Co w obu tych kompozycjach nazwać można dziwnie szczęśliwym, to wybór przedmiotu, gdyż taki „Jan III.“ lub „Kościszka“ podwójny spełnią cel na wystawie międzynarodowej, nietylko świadectwo dając myśli i sztuce polskiej, lecz przypominając sumieniu obojętnej na nas terażniejszości najświetniejsze chwile i postacie dziejowego żywota Polski.

Po długich bardzo obietnicach przystąpił rząd nareszcie do urzeczywistnienia projektu budowy osobnego gmachu dla pomieszczenia naszej akademii technicznej, mającej właśnie uleść reformie pod względem organizacji swojej i zakroić na instytut politechniczny. W ostatnich dniach zakupił rząd pod budowę rzezonego gmachu piękną realność hrabstwa Fredrów na tak zwanym Nowym Świecie (za ogrodem Jezuickim), a z wiosną ma się rozpocząć budowa. Z niecierpliwością oczekujemy także ostatniego słowa względem kreowania wydziału medycznego przy wszechnicy naszej, która to sprawa jest w toku obecnie.

Może z folkami dopiero pojawią się na widokregu lwowskim jakie kwiatki literackie, w ostatnich tygodniach bowiem nie dostrzegliśmy jakoś żadnej świeżej „erraty“ na półkach księgarskich, tych smętnych cmentarzach:

„Gdzie autorowie cicho sobie leżą,
„Co roku ziemią przysypani świeżą...“

B. K.

Poznań dnia 7. marca 1872.

(Nieszczęście źródłem odrodzenia. Groźby z Berlina. Walne zebranie Towarzystwa oświaty ludowej. Pierwszy wiec polityczny w Poznaniu. „Gazeta Wielkopolska.“ Nowości literackie. Ustawa rządowa z dnia 3. maja 1791, przez ks. S. Tomickiego. Wawrzyniec, czyli moc religii. wolny przekład tegoż. Obrazki z życia wiejskiego przez J. Ż.... Łączność szkoły z kościołem przez J. Mensch'a. Rady dla młodych Polek przez Stanisława Bratkowskiego. Katy i ofiary kumuny przez L. R. Odbitki ze „Sobótki“. Teatr.)

Jak w życiu jednostek tak też i całych narodów nieszczęście i klęski bywają wyborną szkołą, matką cennych doświadczeń, źródłem odrodzenia. Nie chcąc przytaczać całego legionu przykładów, motywujących moje twierdzenie, wymienię tylko świeżo każdemu w pamięci tkwiący pogrom Francyi, którego skutkiem są reformy tak ogromnej doniosłości, jak przymus szkolny, obowiązkowa wojskowość i t. d. I my sami mamy na sobie dowód tej prawdy: arystokratyczno-kastowe zasady, jakim holdował ogół rzekomo-demokratycznej szlachty polskiej, ustąpiły w znacznej części po pierwszym rozbiórce przekonaniom umiarkowanym i liberalnym, które znalazły dobitny wyraz w wiekopomnej ustawie 3. maja. Im bardziej zaś dokuczało nam jarzmo niewoli, im sroższym był ucisk, jakiegośmy doznawali, tem więcej poczuwaliśmy się do usilnej pracy w raz obranym kierunku, tem energiczniej występowaliśmy w obronie praw naszych narodowych i religijnych. Wielkopolska pod łagodnemi na pozór rządami Prusaków mniejszy dotąd, niżby należało, brała udział w tej wspólnej pracy; dopiero

ostatniemi czasy, gdy z Berlina zaczęto nam grozić oktrojowaniem praw naszych w kościele i szkole, gdy z cyniczną otwartością zaczęto występować przeciw najdroższym naszym spuściznom, bo przeciw wierze i językowi, któryśmy odziedziczyli po praojcach — dopiero wtedy, mówię, poczuliśmy wielkość grożącego nam niebezpieczeństwa, i z istic młodzieńczym zapalem zabraliśmy się do dzieła, które jak mamy nadzieję, ubezwładni wszelkie germanizatorskie zachcianki naszych cywilizatorów. Pierwszym krokiem tej pracy jest związane niedawno celem godnego uczczenia wiekowej rocznicy niewoli naszej, Towarzystwo oświaty ludowej. Nie można było zaprawdę poważniej i uroczysiej obchodzić r. 1872, jak związaniem Towarzystwa, mającego na celu szerzenie oświaty między prostym ludem, który jej tak łaknie, i przyprowadzenie tym sposobem milionów ludzi do świadomości swego obywatelskiego i narodowego stanowiska. Walne zebranie Towarzystwa (w środę 21. lutego) okazało, że ogół społeczeństwa wielkopolskiego przejęty jest zapalem do sprawy narodowej, i zdrowo pojmuje obecne położenie. Słusznie powiedział w pięknej swej przemowie p. Mieczysław Łyskowski, że „młot stuletni nie rozbił nas, ale skuł w spiż nie rozbity! Gorące przemówienie obecnego na zgromadzeniu Czecha, p. Sewery, ogólny wywołało zapal, a udział, jaki całe społeczeństwo nasze bierze w Tow. oświaty, pozwala nam rokować mu piękną przyszłość i plon obfity.

W dwa dni po walnem zebraniu oświaty ludowej odbył się wiec w hotelu saskim, zwołany przez Dr. Romana Szymańskiego, redaktora Orędownika, celem zaprotestowania przeciw zarzutom ks. Bismark'a, jakoby posłowie polscy w Berlinie reprezentowali tylko frakcją klerykalno-szlachecką, a nie wszystkich polskich mieszkańców Księstwa, szczególnie mieszczan i wieśniaków, których uważa za zadowolonych z ojcowskich rządów pruskich. Zebrało się w oznaczonym dniu i miejscu kilka tysięcy wiary, zapełnili salę, sień, schody, dziedziniec i ulicę, wielu zawieszało się na oknach, gzymsach i framugach — a byli to rzemieślnicy, robotnicy, fabrykanci, wieśniacy z bliższych i dalszych okolic — ludzie od szydła, igły, kielni, młota, siekiery, pługa i t. p., a wszyscy jednomyślnie z uznania godnym zapalem i taktem zaprotestowali przeciw słowom niemieckiego kanclerza, odsadzającego ich od uczuć patriotyzmu. Słusznie powiedział Orędownik „że popamięta Hotel Saski“ do śmierci wiec piątkowy, a syny jego i wnuki, co się na jego gruzach wzniosą, będą sobie legendy o nim opowiadały.“

Jak widzicie, życie w Poznaniu wre i kipi, i w ciągu trzech dni odbyły się aż dwa zgromadzenia, które nam nieobliczone przynieść mogą korzyści. I na polu literatury peryodycznej ruch się od niejakięgo czasu wzmaga. W ciągu roku przeszłego powstał Orędownik, dwudniowy, popularny dziennik polityczny i przemysłowy, z początkiem bieżącego dzienny Kurjer Poznański, a z dniem 1. kwietnia wychodzić zacznie przeznaczona głównie dla klas średnich Gazeta Wielkopolska, pod redakcją Dr. Kazimierza Szulca. Pismo to zawdzięczające swą egzystencją wytrwałemu pracownikowi na niwie narodowej, czcigodnemu ks. Bażyńskiemu, i kilkuset akcyonaryuszom tak duchownym jak świeckim — ze

względu na niską cenę i ducha zgody, jaki wedle programu wiać zeń będzie, znajdzie niezawodnie poważną liczbę zwolenników i przyjaciół. Charakter naczelnego redaktora daje rękojmję kierunku pisma — niekorzystne przecież światło na Gazetę rzuca fakt, że w kilkanaście dni przed wyjściem pierwszego numeru ogłaszają wydawcy konkurs na dwie posady w redakcyi. Bądź co bądź nie należy przed czasem wydawać sądu — qui vivra, verra...

I literatura książkowa obficie jest obecnie reprezentowaną, niż dawniejszemi czasy. Prócz wymienionych w przeszłej korespondencyi nowości i będących pod prasą licznych wydawnictw J. K. Żupańskiego, wyszło jeszcze na widok publiczny kilka innych, które tem skwapliwiej przytoczyć czuję się obowiązany, że je dzinnikarstwo nasze, nie wiadomo mi, z jakich powodów, pominęło milczeniem. Są to po większej części książki przeznaczone dla najniższych klas ludności, i dla tego samego zasługują już na gruntowne ocenienie, na wykazanie ich dobrych lub złych stron i osądzenie, czy warto je rozpowszechniać lub też nie. Kontrolę taką nad wydawnictwami ludowemi powinny czasopisma odbywać gorliwie i sumiennie, zważając, że zła umysłowa strawa jest dla ludu nierównie szkodliwszą, aniżeli dla wyższych warstw, które do drukowanego słowa nie przywiązują takiej wagi, jak prostaczkowie. Niedbalstwo prasy pod tym względem sprawiło, że niemieccy księgarze spekulanci, jak Lambeck w Toruniu, Koehler w Brodnicy, po części Jagielski w Poznaniu et Consor., zalali literaturę ludową powodzią książczyn bez wartości, o wstecznej lub nijakiej treści — elukubracjami pełnemi potwornych germanizmów i smalonych dubów. Potrzeba było koniecznie wydawcy uczciwego a zdolnego, któryby temu niebezpiecznemu prądowi stawić był umiał tamę; ale piękne to pole długo leżało odłogiem, od kilku lat dopiero jął je uprawiać ks. Bażyński, który około oświaty ludowej ogromne położył zasługi. Pomiędzy trzydziestoma wydanemi przezeń tomikami, znajdują się wyborne powiastki obyczajowe i historyczne J. K. Gregorowicza (Janka z Bielca) L. Wł. Anczyca, J. K. Turskiego, Karola Miarki i t. d.; książeczki historyczne i naukowe, jak n. p. wyborna Hygiena popularna i t. d. W ostatnich miesiącach wydał ks. Bażyński kilka nowych publikacyi, a naprzód: Ustawę rządową z dnia 3. maja 1791, przez Ks. S. Tomickiego. Jak widać z przedmowy, celem autora było wykazanie na podstawie dokumentów, że „nas napadnięto w chwili, gdyśmy nikomu nie grozili, dla nikogo niebezpiecznymi nie byli, gdyśmy poprawiając się z wad, wchodzili na drogę odrodzenia.“ Sam autor przytacza wszystkie mowy i cały przebieg obrad przy przyjęciu ustawy rządowej w dniu 3. i 5. maja z Gazety Narodowej i Obcej, która wychodziła wówczas w Warszawie pod redakcją Stanisława Szymańskiego z Tacytoskiem mottem: „sine iro et studio quorum causas procul habeo.“ W drugiej części swego dziełka opowiada ks. Tomicki, jak radośnie przyjęto konstytucją 3. maja w kraju, w trzeciej zaś z jak wielkiem uwielbieniem odzywali się o niej publicyści wszystkich cywilizowanych ludów. Jak potrzebne są dla włóścian tego rodzaju prace i jak niesłychanie pożyteczne, nie tu miejsce dowodzić. Drugą książką tegoż wydawnictwa jest powieść z angielskiego: Wawrzyniec, czyli moc religii, wolny

przekład Ks. S. Tomickiego. Treść powiastki, napisanej z wielkim talentem i wysoce moralną dążnością, wystawiającą niedościgniony niemal ideał poświęcenia, jest przecież ze względu na różnicę zachodzącą między angielskimi a naszymi stosunkami, mniej dla polskiego ludu odpowiednią, choć także z korzyścią przez wszystkich czytana być może. Obrazki z życia wiejskiego przez J. Ż... a, pełne są prostoty i świeżości. Łączność szkoły z kościołem, czyli słów kilka do wszystkich obrońców a przyjaciół szkół konfesyjnych, przez J. Mensch'a, napisana jasno i przekonująco; dziś szczególnie, gdy w łonie społeczności naszej nurtują zatargi i waśnie, będące wielce na rękę śmiertelnym naszym wrogom; dziś mówię broszura ta jest bardzo na czasie.

Z polecenia również ks. Bażyńskiego wyszły Rady dla młodych Polek, z okoliczności pisania listów, skreślone przez Stanisława Bratkiewicza. Wydawcy w przedmowie donoszą, że odebrawszy na jedno z wezwań konkursowych powyżej wymieniony rękopis od wychodźcy, zmarłego następnie w czasie ostatniego oblężenia Paryża, nie mogąc go drukować z powodu, że nie odpowiadał celom, jakie sobie wydawnictwo od początku wytknęło, przez wzgląd jednakże na szczególną wartość dziełka, polecili zajęcie się wydaniem księgarni p. Daszkiewicza. Zawiera ono rzecz o listach wogóle, bardzo trafne „sposrożeńia gramatyczne“ — „główniejsze wady stylu listowego“ — oraz przykłady listów w różnych przedmiotach, i uwagi. Następują listy z najrozmaitszych okoliczności pisywane, wymieniona rozprawka „o niebezpieczeństwie rozpisywania się z własnymi uczuciami, i ze zdaniem o drugich“ — dalej wzory i to jeden pani de Maintenon, drugi Krystyny z Sanguszków Bielińskiej i kilkanaście bezimiennych matki do córki, formą i treścią dziwnie przypominających sposób pisania niezgasłej pamięci Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. W tejsze księgarni wyszło spore dzieło p. t. Katy i ofiary komuny, spisane przez L. R. wedle trzech świeżo wydanych broszur francuzkich. Jestto jedna z najciekawszych książek; czytając sceny przesładowania tych nieszczęśliwych, myślimy nieraz, że czytamy dzieje męczenników z pierwszych wieków chrześcijaństwa — a ich katy to nie ludzie postępu XIX. w., którym się tak chępią, lecz nieodrodni synowie okrutnych cesarów rzymskich Tyberyusza, Kaliguli, Nerona...

Księgarze tutejsi: M. Leitgeber i Sp. wydali jako przedruki ze Sobótki: humoreskę Wł. Sabowskiego: Piękne z a nadobne, i dwie powiastki w jednym drobnoucznym tomiku: Zemsta królowej przekład z Dickens'a Heleny Potworowskiej, i Kasztelan, opowiadanie Fryderyka hr. Skarbka.

I dzisiaj dla braku miejsca kilka słów tylko powiedzieć mi wolno o teatrze. Jestto wszakże sprawa zbyt ważna, ażeby ją zbywać ogólnikami, a towarzystwo poznańskie zasługuje ze wszech miar na sumienne ocenienie. Przez dwa najbliższe wieczory, t. j. dziś i jutro, przedstawiają artyści poznańscy dwa arcydzieła, a mianowicie Hamleta i Konfederatów Barskich. Nie wiemy, czy którakolwiek scena europejska w równie szybkim następstwie wystawia tak znakomite utwory. Odkładając przeto rzecz o grze artystów do osobnego artykułu, jeżeli redakcyja Strzechy zechce mu udzielić gościny w swych łomach, pozwolę tu sobie zrobić jedną tylko uwagę o teatrze.

Podczas ostatnich kilku miesięcy teatr poznański pod umiejętnem w danych stosunkach kierownictwem p. Dobrzańskiego, dał dowód wielkiej pracowitości i energii. Złożony z różnych żywiołów, ukonstytuował się szybko i szczęśliwie, dawał co chwila sztuki nowe lub też dawniejsze arcydzieła, że tylko wymienimy Romea i Julię Szekspira, Wilhelma Tella Szyllera, Beatrix Cenci Słowackiego itp., a choć wykonanie, tak z powodu pierwszorzędnych sztuk, jako też nawału pracy, nieraz znacznie kulało, to jednak nie było wypadku, by ktoś z grających zepsuł swą rolę, a z każdym dniem postęp w grze był widocznym. Brakło umiejętnej krytyki teatralnej, lecz od kilku tygodni i ten szkopał, o który się rozbiła dobra wola aktorów, usunięty, gdyż recenzje, umieszczane obecnie w Dzienniku Poznańskim i Tygodniku Wielkopolskim, pisane są z wielką wytrawnością i znajomością rzeczy. Przeglądy Don Karlosa i Maryi Tudor służyć mogą za wzór teatralnym krytykom, i śmiało ubiegać się o lepsze z zagranicznymi. Tem boleśniej więc dla nas, że p. Dobrzański z końcem bieżącego miesiąca opuszcza Poznań i zabiera ze sobą do Lwowa ozdobę teatru naszego, p. p. Wołęńskich i p. Kwicińskiego. Żywimy wszakże nieplonną nadzieję, że poznańscy artyści, połączywszy się z trupą p. Kalicińskiego, po krótkiej pauzie znów grać zaczną. Należałoby w takim razie przecież pomyśleć o wzorowem zorganizowaniu personalu i repertoarza, „trzebaby przedewszystkiem postarać się o gorliwego, godnego zaufania, a w rzeczach scenicznej estetyki kompetentnego dyrektora i fachowo-rutynowanego reżysera.“ Tygodnik Wielkop., z którego powyższe zdanie wyjęliśmy (Nr. 9), podaje cenne w tej mierze uwagi, które bodajby znalazły posłuch u komitetu teatralnego. Jedynie zastosowaniem się do owych wskazówek zdołalibyśmy uchronić się od ciągłej emigracyi dyrektorów, rozpraszania się towarzystw, i scenie poznańskiej stałą moglibyśmy zapewnić egzystencyą.

K. K.

Drezno z początkiem marca.

(Notatki drezdeńskie. — Stanowisko Polaków w Dreźnie. — Chaos w przekonaniach i literaturze. — Nowe publikacye i dzienniki. — Galiciana. — Luka w Pamiętnikach Niemcewicza.)

Nie wiem, czy was zajmować może, co się w Niemczech dzieje, a właściwie z Drzezna o czem innem pisać niepodobna. Dochodzi nas tu, co się na polskiej ziemi gdzie zjawi, lecz książka bez żywego komentarza, bez tego, co ją stworzyło, i tych, dla których była stworzoną, jest prawie niezrozumiałą; polski zaś żywioł i działalność stolicy Saksonii bardzo podzędne zajmują stanowisko. Tegoroczne notatki drezdeńskie, książeczka, która się od lat czterech ukazuje co roku w Dreźnie — zawierają do dwóchset nazwisk polskich rodzin i osób zamieszkujących tutaj, drugie tyle może na ementarzu spoczywa. Od czasów Augusta II. i III. napływ ten Polaków do Saksonii jest nieustanny. Wiele rodzin napół lub całkowicie tu zniemczało, inne nie tracąc cech swych narodowych przywiązały się i wrosły w Drezno, na gruncie, który łatwo przyswaja obcych. Trudno wylczyć wszystkie znakomitości, jakie się tedy od końca XVIII. wieku przesunęły. Nielicząc Sułkowskich, Rutowskich i innych imion niby polskich, co się saskimi stały — odpoczywali przez

mniej więcej długi czas w Dreźnie: Dąbrowski, Tremo, Stanisław i Ignacy Potoccy, Kołłątaj, Kościuszko, Wybicki, później Mickiewicz, Krasiński, Odyniec, znaczna część emigracji, która tędy przeszła do Francji, Brodziński, Wojeżyński, Wodzicki i bez końca imion, których spisać niepodobna. W notatkach drezdeńskich jest bardzo ciekawa kronika cmentarza, która mówi o tych, co tu zmarli... Szukali spokoju i znaleźli go na bożej roli na Frydrychstacie. Od lat dziewięciu pobytu naszego ileż to pogrzebów i nabożeństw odbyliśmy na katolickim cmentarzu! któż tu z nas nie pochował członka rodziny lub przyjaciela!! W pewnych chwilach, jak po r. 1863, Drezno pełnem było naszej braci, pozbywano się ich usilnie, lecz małe gronko pozostało w zacisznym tym Niemiec kątku. Drezno jest małym miasteczkiem, wygodnie w niem, a do niedawna było jeszcze bardzo tanio. Rodziny mogą z łatwością wychować dzieci, starzy wypoczynek znaleźć miły... nie trzeba tylko szukać ani zarobku, ani tego serdecznego współczucia, jakiego się niektórzy spodziewają, rachując na starodawne polsko-saskie stosunki. Zostawiły one po sobie tylko gorzkie wspomnienia, dla Saksonii my byliśmy strat i zawiłań powodem, a dynastia saska smutne też po sobie u nas zostawiła ślady. — Polacy w Dreźnie są na stopie innych pożądaných cudzoziemców, na równi z mnogimi Rosyanami, Amerykanami, Anglikami, którzy tu schronienia szukają. Stara rezydencya rachuje na pewną ilość cudzoziemców i z nich żyje. Część znaczna miasta dla nich jest urządzona, i można powiedzieć, zbudowana. Przynosimy tu z sobą pieniądze i o tyle jesteśmy im mili, o ile je mamy. Dozór policyjny czuwa tu nad tem, ażebyśmy bez nich tu pozostać nie śmieli. Wszyscy mniej więcej cudzoziemcy, nie wyjmując nas wcale, żyją w pośród Saksonii zupełnie wydzieleni, nie mając żadnych stosunków z miejscową ludnością, oprócz tych, do jakich zmuszają warunki materialnego życia. Korzystają z tego, co dla wszystkich jest dostępne, ale głębiej w stosunki społeczne miejscowe nie wchodzi. Towarzystwo polskie stanowi tu odrębny światek, status in statu, który ma swe życie właściwe. A że składają je żywioły różne, więc też i na wiele kółek osobnych się dzieli. Rzadko kiedy nabożeństwo, zabawa, teatr — na chwilę łączy te żywioły rozprzechle...

Dawniej, po 1831 roku, mieliśmy wielkie współczucie w Saksonii, dziś wszystko się to zmieniło. Postarano się o to i potrafiiono dokonać tego, by wogóle Niemcy, stały się nam nieprzyjaźnemi.

W sto lat po pierwszym podziale Prusy bacząc, że nie potrafiły sobie zassymilować pochłoniętych części Polski, które nie tak się strawnymi okazały, jak sądzono zrazu — uderzyły na alarm, a za ks. Bismarkiem cała gawiedź przybłędów, obozująca na obszarach Wielkopolski i Prus — woła: — A nuże, tępić Polaków!! Odbija się to w Austrii na znakomitej chirurgicznej operacji, jakiej ulega ta nieszczęśliwa rezolucya wasza, z której tylko okaleczone szczątki zostaną... Natomiast w Rosyi zaczynają prawić o możliwości zgody, ale zarazem zakazują języka polskiego w kościele i szkole. Dożyliśmy zaprawdę rzeczy tak osobliwszych, czasów tak płodnych w niespodzianki, skandalów tak do wiary niepodobnych i zwrotów przekonań tak radykalnych, że możnaby uwierzyć w kometę

Plantamour'a, która dnia 11. sierpnia koniec położy temu choasowi ziemskiemu i rozpocznie nową kreacya ab ovo, to jest od mastodontów... Życzyć tylko należy, żeby, non bis in idem, lepiej się udał ten świat, dla którego my będziemy istotami kopalnemi.

Istny chaos — z jednej strony płyną broszury średnio-wiecznym przepelnione fanatyzmem, z drugiej dzieła usiłujące nas obedrzeć ze wszystkiego ludzkiego i uczynić prawdziwymi spadkobiercami małpich protoplastów. Ks. Golian i ks. Mikoszewski, ks. Kamiński (z Katowic, gmina starokatolicka) i ks. Stragaczyński!! Kierunek pozytywny i kierunek ascetyczny, i wszystkie kierunki, jakie sobie tylko wymarzyć można, z dodatkiem ruchu w zygzag i bez żadnego kierunku... Zastał nas rok pamiętkowy podobnymi do mrówek, którym rozwalono ich rzeczpospolitą, rozbieżnych na wsze strony... E pur si muove!! A co książek nowych. — Oto naprzód Forstera: Sprawa polska ze stanowiska europejskiego, w której autor zebrał zdania o niej Schedo Ferrotiego, Bakunina, Henri Martin, E. M. Arndt'a, Raumer'a, S. Marc Girardin'a i kilku bezimiennych... Książka ciekawa zaprawdę i dająca do myślenia. — Dalej Polska i Rosya, broszura przez b. członka Rady Stanu, znakomicie napisana, choć bolesna nad wyraz wszelki i jak zimny nóż chirurga rozcinająca nadzieje nasze nielitościwą logiką — oto Niewolnik, poemat zbolalej duszy, jęk z pod kajdan i sklepień więziennych... dalej olbrzymi tom „na Dziś“ i Rys rozbiorów trzech Schmitt'a, i Album Rapperswylskie, i album Tygodnika Wielkopolskiego, i album geneueńskie Braun'a... A obok tych publikacyj natchnionych rocznicą i wspomnieniami, takie spokojne i poczciwe jak Sztuka Łepkowskiego, jak zbiór Starożytności krakowskich, przepyszne album fotodrukowane Towarzystwa Naukowego krakowskiego... może ostatnie dzieło jego przed metamorfozą akademicką, i całkowite wydania nowe dawniejszych naszych pisarzy, i pozostałości po Mickiewiczu, i mnóstwo innych obiecanych, zamierzonych, rozpoczętych, ciągnących się publikacyj. U Zupańskiego jednego na warsztacie — Listy Kołłątaja, Sejm czteroletni Hłowajskiego (z rosyjskiego), Konfederacya Barska Koronowicza, Pan Tadeusz ilustrowany przez Kossaka i Zaleskiego, Pamiętnik Engeströma, i różnych innych drobniejszych rzeczy bez liku. W Poznaniu zamiast jednego Dziennika, który dawniej starczył dla wszystkich, Kurjer i Gazeta Poznańska, mająca wychodzić od prima Aprilis, Orędownik i t. d. Krzątanina niezmierna, nie dziw, że aż ks. Bismark się przestraszył i huknął wypowiadając wojnę. Benedetto tym razem było widmo nieszczęśliwej Polski... Dziwna rzecz, po stuletniej wojnie, wcaleśmy się nie zlekli jakoś, poddać się nie chcemy i idziemy dalej pod starą chorągwią. Od was ze Lwowa doszła nas tu ciekawa książka Łozińskiego, Galiciana, bardzo w porę kreśląca z mało znanych lub nieznaných materyałów, pierwsze chwile po zaborze., gdy nowo rewindykowany kraj, do korony węgierskiej przywrócony, prawa królestwa węgierskiego otrzymać nie mógł i rozpoczął na łożu Prokrusta eksperymentu, które już lat sto trwają.

Nieoszacowane szczegóły zawiera Galiciana... Dodaćby tylko do nich ten cudny obrazek Zachariasiewicza, szlachcica, który z trumną swojego przodka wyjeżdża z Kordonu,

wywołując zwłoki polskie na jeszcze polską ziemię. Dziś jużby ich nie miał dokąd przeniść... zwłaszcza gdyby nieboszczyk ubrany był w żupan i kontusz; a właśnie w tym jednym Kordonie, z którego swą relikwią uwoził, dawny nasz strój jeszcze żyje...

Pisałem kilka razy o pamiątkach Niemcewicza; dwa też tomy już są w ręku tych, co czytać chcą i umieją; ale spuścizna po człowieku, który całe swe życie poświęcił usłudze publicznej, jeszcze nie jest wyczerpana. Dziennik od r. 1820 do 1831 dotąd się gdzieś ukrywa. Od lipca zaś 1831 roku, gdy Niemcewicz po Margrabi Wielopolskim i hr. Walewskim wysłany został do Londynu, dziennik pozostał doprowadzony aż do dnia wigilii śmierci. — Ten właśnie w tej chwili redagujemy, aby nim pozostałości po najczcigodniejszym pracowniku dopełnić.

J. I. KRASZEWSKI.

Bruksella, z lutego 1872.

(Słótko wstępne. — Idea. — Między Nami. — Dwa domy. — Olga Janina. — Nepotyzm artystyczny. — Literatura belgijska. — Teatr. — Echość teatralna. — Major Petrolski. — Hr. Chambord w Antwerpii.)

(Z. F. M.) — Rozpoczynając kronikarski przegląd z Brukselli, trudno by mi było ograniczyć się na sprawozdaniu z objawów życia i ruchu umysłowego na polu wyłącznie polskiem. Mamy tu wprawdzie pochylonego wiekiem, pracą i niedolą historyka, mamy tu poetę, i powieściopisarza. Zaglądać tu niekiedy artyści-muzycy, przebywają czasowo malarze, rzeźbiarze, architekci itp. Pojawiają się na wystawach arcydzieła mistrzów naszych. (Sędziwój, Matejki). Lecz mimo to Bruksella nie będąc ogniskiem ruchu, nie będąc owem słońcem cywilizacji, wydzielającym z siebie światło i ciepło na wszystkie światła strony, nie przyciąga też do siebie spragnionych tłumów, nie zajmuje wobec nas także takiego stanowiska, jakie ongi zajmował Paryż; a tem samem nie dostarcza kronikarzowi materiału odnoszącego się do naszych narodowych interesów. W sprawozdaniach zatem moich muszę być w części kosmopolitycznym, zaglądać tu i ówdzie, sięgnę może do Paryża i do Londynu, zbierając na rozmaitych zagonach, co się zebrać da ku zadowoleniu i pożytkowi Strzechy i jej czytelników. Swoje rzeczy, naturalnie będą zawsze na pierwszym planie, jednakże nie będzie ich mnogo.

I tak, od wyjścia z druku Promyków Wolskiego pierwszą książką polską, drukowaną w Brukselli, jest *Idea*: napisał Syn polski. Dzieło filozoficzne, opracowane z zadziwiającą cierpliwością, głębokiej erudycji pełne, lecz mówić wam o niem — strach! Książka ta traktuje o religii ze stanowiska rozumowego, a u was w tej materii tego stanowiska zajmować niewolno; zwyczaj i przyzwyczajenie na to nie pozwalają. Przyjmcie za tem wzmiankę o *Ideji* jako zapisek bibliograficzny jedynie; gdybyście wszelako mieli odwagę być ciekawymi, co też ta straszna książka zawiera, możecie ją sobie sprowadzić i przeczytać; lecz pisać o niej nie będę. Boję się!..

Z początkiem bieżącego roku, młodzież uniwersytecka w Liège rozpoczęła wydawnictwo dzienniczka „*Między Nami*“ Chrestne imię tego dzienniczka wskazuje jego dążność zarazem. Ma on służyć za pole do wymiany zdań i próby zdolności li-

teracko-naukowych rozsianej po rozmaitych uniwersytetach, polskiej młodzieży. Polityka będzie, zdaje się, stanowczo prohibowaną w tym organie akademików, podobno nawet przeciw dyskusowaniu kwestyi socyalnych liczne odzywają się głosy. Pisma tego dwa już okazały się numerami. Sukienka jeszcze ubożuchna, dla oszczędności [litografowane; w artykułach dobrej chęci dużo, z czasem, przy wytrwałości, gdy się środki wzmogą, można się spodziewać, że pocziwe usiłowania dobre wydadzą owoce.

Włodzimierz Wolski, poeta, którego niezrównanej piękności klejnocik poetyczny p. t. *Mleczna Siostra* znacie z Promyków, napisał nową dwuaktową komedią p. t. *Dwa Domy*. Oto cały zapas nowości literacko-naukowych polskich na tu-tejszym gruncie zebrany.

Z przyjemnością dowiecie się, że znajoma Lwowowi znakomita pianistka, *Olga Janina*, dobija się uznania i zbiera tu oklaski. Wiecie zapewne, kto ona; my tu jesteśmy w niepewności, czy to szlachcianka, czy królewna, czyli żona wojewody, Wiśniowiecka czy Sobieska, czy Rusinka, czy Czerkieska? Za tem, że Sobieska, mówi to, że Janina; za Czerkieską przemawia pasek czerkieski, w który ujęta jest czarna, zawsze jedna, aksamitna sukienka artystki. Pomimo jednakże wszystkich niepewnych wersyi, mimo niechęci, z jaką zawistni Belgowie cudzoziemkę witali, wyrobiona, śmiała i staranna egzekucya tej bezwzględnej adoratorki a zarazem uczennicy Liszta, coraz to liczniejszych zyskuje zwolenników. Europejskiej sławy skrzypek Vieuxtemps używa jej swego akompaniamentu do egzekucyi znanych Rapsodów węgierskich księdza-wirtuoza; wielu też innych znakomitszych artystów otoczyło Janinę opieką i życzliwością. Wiedzieć potrzeba, że zdobyć tu sobie uznanie jest dla artysty-cudzoziemca rzeczą arcytrudną. Belgowie przesiąknięci są pewnym, że tak powiem narodowym nepotyzmem; to u nich najlepsze, co swoje; na obce sławy, jak długo te sławy słonecznym nie zajaśnieją blaskiem, patrzą z ukosa. Wielu artystów, okrytych oklaskami po innych Europy stolicach, znajdowało tu przyjęcie chłodne albo i wcale nieprzychylnie.

Przyznać bo też Belgii a mianowicie Brukselli należy wysoce wykształcony smak i znajomość muzyki. Konserwatorium tutejsze jest jednym z najpierwszych w Europie; towarzystw, kółek filharmonijnych, lirycznych, artystycznych etc. na palcach nie zliczysz. Literatura za to nie wybujała na grunciu młodego państewka. Karmi się Belgia płodami sąsiadki swej Francji; Victor Huga, Dumasa, ma prawie za swoich, ale sama nie zdobyła się na autora, któryby bodaj popróbował stanąć obok francuzkich znakomitości. Dziwna rzecz, Belgowie, tacy zawistni i zazdrośni w sferze sztuk i rzemiosł, wręcz przeciwnem powodują się uczuciem na polu literatury. Swoi pisarze nie znajdują u nich poparcia ni uznania. W tych dniach oto jeden z księgarzy wydawców, w liście zapraszającym do przedpłaty na nową książkę jednego z narodowych pisarzy, z goryczą wymawia publiczności obojętność i brak poparcia literatury krajowej. Rzeczywiście wspomniany pisarz *Emil Leclercq* ma talent i styl udatny; gdyby miał szczęście być dzieckiem, a przynajmniej mieszkańcem nadsekwaniańskiego grodu, miałby wziętość ogromną; jest Belgiem, mieszka między swoimi, nie zaciekawia.

Zapatrzenie się na Paryż, bardziej jeszcze niż w literaturze uderza w teatr. Tu już samoistości nie ma najmniejszej. Wszystkie, od wielkich do najmniejszych teatru są tylko echem sceny paryskiej. Kiedy Paryż trząsł się od Ofenbachowskich podrygów, Bruksella w też tropy reprodukowała szalone płasy pięknych Helen, Trebizondów, Zbójców i t. p. i tak się rozpląsała, że nawet morze krwi u jej proga rozlane, echa mordów i jęków, woń pogorzeliśka uspokoić jej nie mogły. W czasie rządów komuny, podczas egzekucji Wersalskich, wyżej wspomniane farsy ściągały tłumy do teatrów tutejszych, tłumy, o horror! przeważnie z Francuzów złożone. W obecnym teatralnym sezonie mamy, zawsze w echowych z Paryża oddźwiękach, cały szereg nowości. Więc naprzód Dumas syn, dał nam *Visite de Noces i Princesse Georges*. Obie te komedye przyrządził podług swoich, jemu specjalnie właściwych zasad nowej moralności. Moralność ta zależy na ścisłym zgłębianiu i dokładnem zrozumieniu wszystkich występów, wszystkich brudów, całego błota, jakie się gromadzi za kulisami salonu i ulicy. Profesorem tych studyów jest Dumas sam, uczniami publiczność. Wykłady jego, podawane w formie komedyi, mają powodzenie ogromne. Szczególnie *Princesse Georges*, nęci i zaciekawia; idzie się na nią, żeby miło czas przepędzić, przypatrzeć się skandalikom, nasłuchać ploteczek... Prawda, że po skończeniu czuje się próżnię i niesmak, coś jakby rodzaj niestrawności, lecz Dumassyn zaręcza, że po gruntownem zbadaniu i poznaniu za pomocą jego teatru wszystkich tych społecznych bolączek, zajdzie zmiana na lepsze i cnota zajmie miejsce rozwolnienia obyczajów. Prócz Dumasa wystąpił z komedją p. t. *La Baronne* p. Charles Edmond (Edmund Chojecki). Ta sama strawa przez innego przyprawiona kucharza. Brak zdolności i dowcipu Dumasowskiego, a natomiast usiłowanie wydobyć z rzeczy niemoralnej, sensu moralnego, o który Dumasowi wcale nie chodzi. Wyliczając niektóre tylko co znacznie teatralne nowości, wspomnę na zakończenie o najnowszej komedyi Wiktoryna Sardou, znanego wam z dramatu „Ojczyzna“, który był u was przedstawiany. Pięcioaktowy *Rabagas* jest jasnym poparciem twierdzenia, że talent, iskra boża, nie da się użyć za narzędzie gwoli walk stronnicych i płaskiej namiętności. Jest to niby satyra polityczna, a właściwie znęcanie się nad zwycięzonymi. Sardou walczy z bez-

bronnym nieprzyjacielem, wysmiewając upadłe stronnictwo. Chciałby być Arystofanem, a nie jest nawet takim Sardou, jakim bywa w innych swoich sztukach. *Rabagas* jest złym uczynkiem, nie mając na swoją obronę tej wymówki, że jest dobrą komedją. Pełen politycznych aluzji, z wyjątkiem pierwszego aktu i początku czwartego, dobrze zawiązanych, jest ten *Rabagas* grubą farsą, ramotą, z której gdzie niegdzie strzela dowcip, i nic więcej. Nie wdając się w rozbiór treści, wspomnę tylko, że Sardou czuł się w obowiązku, zemścić za udział Polaków w wojnie domowej Francuzów i w tym celu włożył w swoją sztukę Polaka. Gruby major Petrolski na to tylko zjawia się na scenie, żeby pokazać, że Polacy są tchórze. Inwencya nie dopisała tym razem dowcipnemu fabrykantowi sztuk teatralnych, gdyż niestety! nawet Bismark o odwadze polskiej świadczyć może.

Życie publiczne tutejsze bardzo dramatycznym ulegało w ciągu ubiegłego roku i ulegać nieprzestaje fazom. Na wojnie Belgia skorzystała dużo. Wszystkie żywiły, bogacące Paryż, skoncentrowały się były w Brukselli, przynosząc spokojnemu zwykle miasteczku dużo ruchu i pieniędzy; a chociaż później, gdy się bramy Paryża otworzyły, wyludniły się ulice i spadły bajecznie drogie ceny mieszkań naszej stolicy, rozbudzone życie nie zasypiało, podsycane coraz to nowym jakimś ewenementem. To wygnanie Wiktora Hugo, to jubileusz papieżki, to zaburzenia listopadowe, za którymi poszła zmiana ministeryum, to nareszcie w tej chwili pobyt, w granicach naszego królestwa, ewentualnego króla francuzkiego, hrabiego Chamborda, alias Henryka V. Antwerpia, metropolia europejskiego handlu, już od dni kilkunastu posiada w murach swoich tego nieupragnionego gościa. Henryk rozłożył się sobie po królewsku; przyjmuje deputacye, biskupów ex-królów, z majestatyczną powagą, pozwala sobie składać czołobitne hołdy, w chwilach wolnych od praktyk religijnych, które mu czasu nie mało zabierają; mianowicie, msza poranna, msza przedpołudniowa, nieszpory i modły o przywrócenie potęgi świeckiej Papieża. Podczas kiedy Henryk się modli i daje posłuchania, ulica wre wzburzeniem i bójkami katolickich chambordzistów a liberalnych zwolenników rzecypospolitej francuzkiej; Bruksella zatrzwożona wyczekuje, co to z tego będzie.

ZE ŚWIATA.

(Wiedeńskie album z brodnarzy). Przed dwoma laty wydał dyrektor policji wiedeńskiej, radca ministeryalny Lemonnier, rozporządzenie, ażeby fotografowano wszystkich zbrodniarzy, wypuszczanych z więzienia po przebyciu kary, jak również wszelkie indywidua niebezpieczne cudzej własności. Te nader ważne dla władz bezpieczeństwa portrety nałogowych zbrodniarzy zbierano odtąd troskliwie, i dziś stanowią one bardzo ciekawe album, liczące przeszło tysiąc fotografii. Nieraz też wyświadczyło ono już władzom i stronom poszkodowanym wielką przysługę, tak że łożone na to starania i koszta sownie się wypłaciły. Wszystkie te fotografie, sporządzone w tak zwanym formacie gabinetowym, są jak najdokładniej wykonane. Na odwrotnej stronie portretu znajduje się nazwisko zbrodniarza,

a pod nim w kilku wyrazach jego kwalifikacya i numer protokolarny jego rysopisu w głównej księdze centralnego biura bezpieczeństwa. Wogóle można powiedzieć, że to album jest dla miłośników frenologii i hzyognomiki prawdziwą kopalnią. Kontyngens zbrodniarzy rekrutuje się jak wiadomo ze wszystkich stanów, i ci, którzy niegdys do lepszego należeli towarzystwa, zachowują zwykle jeszcze jakiś ślad dawnego stanowiska w swej powierzchowności. To uderza szczególnie w fotografiach albumu zbrodniarzy; na pierwsze wejrzenie poznać można z postawy i ułożenia tych nieszczęśliwych, których jakiś czyn nierozważny popchnął na drogę występku. Wcale przeciwny widok przedstawia większa część takich istot, które wzrosłszy bez wychowania i nauki szkolnej, i ulegając tylko podłym instynktom stały się zbrodnarzami. Tu można znaleźć

twarze z wyrazem prawdziwie zwierzęcym, o rysach ostrych, w których przebijają się dzikie i podłe namiętności, ludzi, którzy w skulonej postawie siedzieli przed aparatem fotografa i czynią wrażenie tygrysa gotowego do skoku. Zebrało się tu razem szczególniejsze towarzystwo, młodość i starość, piękność i brzydota; ludzie, którzy nie znali swego ojca; i tacy, którzy przed utraceniem szlachectwa mogli swoje drzewo geneologiczne rozciągnąć na kilkanaście pokoleń; mężowie uczeni, którzy w uniwersytetach słuchali umiejętności prawniczych i filozofii, i nakoniec tacy, którzy nigdy nie zapoznali się z abecadłem. Jestto zaprawdę rzecz zajmująca, przypatrzeć się bliżej niektórym typom tej wielkiej galeryi złoczyńców. Oto naprzykład piękna głowa o zaciętym ostro, prawie rzymskim profilu; czoło nos, usta najforemniejsze, jak gdyby odrobione z klasycznego oryginału. Taką głowę powinnyby posiadać tylko znakomitość umysłowa, ale tu ma się rzecz tak, jak w paraboli Sokratesa o ołowianym mieczu w kosztownej pochwie z kości słoniej: jestto głowa karanego często rabusia, wielce niebezpiecznego społeczeństwu. Inny portret przedstawia nam młodą, najwięcej dwudziestoletnią dziewczynę. Na pięknym, podłużnym obliczu maluje się wyraz posępny, jakby głęboko zranionego serca; spuszczone o długich rzęsach powieki nasuwają myśl o skromności, a piękne drobne usta i kształtna rączka złożona na piersi mogłyby się znaleźć nawet w wizerunkach Madonny starowłoskich mistrzów. Patrzącemu wydaje się na razie, że głowa ta tylko przez omyłkę dostała się do tego haniebnego zbioru; ale notatka policyjna na odwrotnej stronie niweczy niestety wszelkie złudzenia, charakteryzując suchym stylem urzędowym tę piękną postać jako „złodziejkę nałogową i wietrzną.“ Tu znowu oglądamy portret innej kobiety, którą przed dwudziestu laty znali dobrze Donżuani wiedeńscy. Czasy galanterii jedwabnej i koronkowej minęły już dawno, uwielbiana niegdyś piękność jest dzisiaj straszdyłem, i ta sama królowa balów, którą niegdyś w sali reductowej otaczały roje wielbicieli, sypia dziś na barłogu w kryjówkach złodziejskich, a źródłem jej dochodów jest kradzież i fałszowanie weksli. Sąsiadem tej upadłej królowy jest człowieczek z twarzą, mającą wyraz łasicy; postać jego chorowita, i nie może on przeto należeć do cechu rabusiów, potrzebujących silnego ramienia; ale mimo to przedstawia on w swojej osobie jednego z najmniejbezpieczniejszych zbrodniarzy, jestto bowiem król fałszerzy dokumentów. Z nadzwyczajną zręcznością umie on naśladować podpisy i pieczęcie, fałszuje na zawołanie testamenta i weksle, podskrobuje po mistrzowsku, i zamknięty w pokoju z tuszem, farbami i papierem podrabia banknoty do niepoznania. Ale dzisiaj piękny ten kunszt bardzo mało już przynosi mu zysku, gdyż policja ma go ciągle na oku i wie o wszystkim, co z jego rąk wychodzi. Po tym fałszerzu par excellence następuje z kolei młody, przystojny człowiek, w cylindrze osadzonym na bakier, i wąsikiem zalotnie podkreśnionym. Tak musieli wyglądać weseli bohaterowie romansów Pawła Kocka. Istotnie młodzieniec ten jest miłośnikiem romantycznych awantur. Latem uczęszcza na koncerty w „Volksgarten“, w zimie chodzi na pierwszą galeryą do teatru opery, umie zbliżać się uludnie do pańien i młodych kobiet, odprowadza je do domu, ale nie dopuszcza się nigdy tej niedyskrecyi, by przekroczył próg domu lub żądał

schadzki miłośnej. Potrafi on inaczej wynagradzać sobie swoje fatygę, wysmyka swoim boginiom, rozmawiając z niemi o pogodzie i muzyce, sakiewki, zegarki, broszki i t. p., a czasem mimowolnie nawet kradnie serca, i znika potem bez śladu; jestto bowiem elegancki typ złodzieja kieszonkowego. — Oto figury, z których każda mogłaby dostarczyć przedmiotu do ciekawej powieści.

(Jak młody Dumas został dramaturgiem?)

Alexander Dumas miał ośmnaście lat, gdy sławny rodzic rzekł doń pewnego dnia: „Pamiętaj o tem, mój synu: kto się nazywa Alexander Dumas, powinien żyć na wielką stopę, jadać w Café de Paris, być wspaniałomyślnym dla kobiet, nie odmawiać niczego. Idź, mój synu, i nie troszcz się o przyszłość. Gdy się ożenisz w dwudziestym piątym roku, dam ci na początek 300,000 franków.“ I młody Dumas idąc za radą swego lekkomyślnego ojca żył wesoło z dnia na dzień. Po dwóch latach przyszedł znów do ojca i rzekł: „Żyłem, jak mi radziłeś, i mam 50,000 franków długu. Ty je zapłacisz, nieprawda? — „Nieszczęsny!“ — zawołał ojciec — „z kądze ja wezmę tę sumę? Ja sam mam już 600,000 fr. długu.“ Młody Dumas poznał teraz, że nie może rachować na starego. Zaczął próbować szczęścia w literaturze; synowi sławnego męża nie przypisywano wielkich zdolności w tym względzie, utrzymywał się jednak dość przyzwoicie jako sprawozdawca rozmaitych dzienników; ale o zapłaceniu długów nie można było ani pomyśleć przy tak lichym zarobku. Jeden z jego przyjaciół miał stosunek ze znaną w mieście damą Maryą Duplessis; ta zażądała pewnego dnia od swego kochanka, ubogiego autora, 10,000 franków, a ponieważ nie mógł dostarczyć jej tej sumy, pokazała mu drzwi. Młody Dumas dowiedziawszy się o tej historii, powziął plan do swego romansu: „Dama z kamelią“, napisał go w nędznym hotelu „Pod białym koniem“ i sprzedał pierwszy nakład za 1000 franków; za drugi nakład otrzymał 200 franków, a gdy obadwa te nakłady się wyczerpały, nabył Michał Levy prawo nakładu na wieczne czasy za 20 ludorów. Inny przyjaciel radził mu, zrobić z tego romansu dramat; młody autor chciał zasięgnąć w tym względzie zdania ojca. — „To nie jest przedmiot dramatyczny“ — rzekł stary — „kto ci tem głowę nabił, jest osiel.“ Było to zdanie bardzo dobitne, i młodzian przestał myśleć o tem; aż pewnego razu rzekł doń Antoni Bereaud: „Twój stary nie jest nieomylnym, i ja ci powiadam pomimo przeczącego wyroku jego, że w romansie tym tkwi wyborny dramat; piszmy go w spółce.“ Dumas namyślił się i postanowił sam pisać. Za trzy tygodnie był dramat gotowy, i autor dał go do przepisania jednemu z sekretarzów ojca. Stary spostrzegł to i rzekł do syna: „Kiedyś wbrew mojej radzie popełnił to głupstwo, żeś zdramatyzował twoją „Dagę z kamelią“, radbym przecież wiedzieć, jak się z tego wywiązałeś.“ — Gdy młodzian skończył czytać, uściskał go ojciec wyznając otwarcie, że sam był głupcem, nie wierząc w jego talent dramatyczny, i przepowiadał dramatowi jak najświetniejsze powodzenie. Młody Dumas biegał potem dość długo od Poncyusza do Piłata, dreptał po schodach wszystkich aktorek, aż wreszcie dramat jego, wydobyty wprzód jeszcze z paszczy cenzury, dopuszczony został do przedstawienia. Z pół tuzina dyrektorów teatralnych odesłało mu manuskrypt nieczytany, z pół tuzina aktorek nie znalazło w tej sztuce żadnej roli popisowej, aż

w końcu „Dama z kamelią“ dostała się na scenę i znalazła powodzenie, jakiego od dawna już nie miał żaden inny utwór dramatyczny. Szczęście młodego dramaturga było już ustalone; za radą swego ojca robił on długi, a wbrew jego zdaniu napisał dramat, który stał się węgielnym kamieniem jego sławy i nastreczył mu oraz sposobność do splacenia owych lekko-myślnie zaciągniętych długów. Długo jeszcze żył on w najskromniejszych stosunkach, aż wreszcie wydobył się ze szpón swoich wierzycieli, i dzisiaj jest jednym z najbogatszych i najporządniejszych pisarzy francuzkich, czem jak wiadomo nie mógł się poszczycić jego ojciec.

(Marquis Posa i car Mikołaj.) Jak dalece caryzm moskiewski jest wrogiem wszelkiej wolności i postępu, okazuje najlepiej następująca anegdota, zawarta w pamiętnikach sławnej w swoim czasie niemieckiej artystki dramatycznej Karoliny Bauer: Oto jej własne słowa:

„W roku 1834 występowałam w gościnnych rolach w Petersburgu i cieszyłam się zarówno względami publiczności jak i dworu. Ale pomimo tej powszechnej życzliwości, która uprzyjemniała mi pobyt w tej stolicy, potrzeba było wreszcie pomyśleć o odjeździe. Matka moja nie mogła znieść tego klimatu, a i ja także zaczynałam już czuć szkodliwy wpływ jego.

Właśnie w tym czasie złożył książę Gagarin z powszechnem ubolewaniem urząd intendenta teatru, a jego następcą został Gedeonow, najwierniejsza kreatura carskiego despotyzmu. Jak ten pojmował i starał się spełniać swoje zadanie, okaże następujący przykład.

Pewnego dnia na przedstawieniu Don Karlosa — ja grałam wtedy księżniczkę Eboli — i w ciągu owej wielkiej, wspaniałej sceny między królem Filipem i Marquis Posą, ale jeszcze przed słowami: „Najjaś. Panie, daj wolność myśli!“ — wystąpił p. Gedeonow do reżysera Barlowa i rozkazał mu odwołać natychmiast króla i Posę ze sceny, ponieważ ich paplanina dwór niecierpliwi..

Pocziwy Barlow stał jak skamieniały, nie wiedząc, jak się wziąć do tego, by owych dwóch niedyskretnych paplaczy szyllerowskich bez wielkiego hałasu usunąć ze sceny.

Wówczas nie mogłam powstrzymać mego pocziwego oburzenia i rzekłam: — „No, panie Barlow, wystąpże pan jako reżyser, oddaj ukłon publiczności i zawołaj: Hej, ty królu Filipie, i ty markizie Poso, z waszemi łbami demokratycznymi i sercami, pełnemi dumnych marzeń o uszczęśliwieniu świata, precz ze sceny, bo Jego Carską Mość niecierpliwi wasza paplanina, wasza wolność myśli..“

Intendent spojrział na mnie dzikim wzrokiem, wystąpił potem prawie z kulis i krzyknął na zdumionego króla Filipa i markiza Posę: „Odejdźcie natychmiast, albo każę żołnierzom spędzić was ze sceny!“

Wtedy ustąpili oni; ale moje natchnione wyrazy nie przebrzmiały pomiędzy kulisami, i na moim występie poże-gnalnym była tylko łoża carska — próżna!

(Sławne niewiasty bonońskie). Mało które miasto europejskie może się poszczycić takimi znakomitościami poci-żeńskiej, jak Bononia; kronika tamtejsza podaje ich cały szereg, z którego wymieniamy tu najslawniejsze.

Novella d' Andrea, córka sławnego jurysty w czter-nastym wieku, zastępowała często ojca swego na katedrze. Kronika powiada, że w takich razach okrywała się lekką za-słoną, ażeby widok jej nadzwyczajnej piękności nie odwracał uwagi studentów od przedmiotu, który wykladała. Następczynią tej sławnej Novelli była później Laura Bassi, doktor praw i profesor umiejętności przyrodniczych, która pomiędzy słucha-czami, przyjętymi do korporacji studenckiej w Bononii, liczyła także wiele kobiet z Francji i Niemiec. — Signora Marzolina była profesorem anatomii na uniwersytecie bonońskim i zarazem służyła wielce jako zręczny chirurg. Nakoniec pomiędzy kobietami uczonemi zasługuje jeszcze na wzmiankę przyjaciółka i poprzedniczka sławnej lingwistki Mezzofanti, Matylda Tambroni, która na początku bieżącego stulecia zajmowała katedrę greckiej filologii na tamtejszem uniwersytecie.

Obok tych doktorów i profesorów żeńskich zajmują nie-mniej zaszczytne miejsce zrodzone w tym mieście artystki Lavinia Fontana i Elżbieta Sirani. Pierwsza urodzona w Bononii w r. 1550, a zmarła w Rzymie w r. 1614, była córką i uczennicą malarza Prospera Fontauny, i galerya bonońska posiada ciekawy obraz jej historyczny — udzielenie błogosławieństwa przez św. Franciszka de Paulo będącemu wówczas w młodocianym jeszcze wieku Królowi francuzkiemu, Franciszkowi I. Bogatszą jest ta galerya w dzieła drugiej artystki, posiada bowiem siedm większych i mniejszych, i to po części bardzo szacownych obrazów Elżbiety Sirani, pięknej córki malarza Giovanni Sirani, której tragiczny los przechowuje się dotąd jeszcze w pamięci ludu. Zginęła ona bowiem w młodym jeszcze wieku, otruta przez wielbiciela ze znakomitej rodziny szlacheckiej, którego swoją odmową pobudziła do gniewu i zemsty.

(Kto jest wynalazcą polki?) Chociaż polka prę-dziej niż którykolwiek inny taniec stała się popularną i pomiędzy naszymi tańcami towarzyskimi zajęła jedno z pierwszych miejsc, nie wiedziano przecież przez długi czas nic o jej pochodzeniu. Dopiero w r. 1862, gdy na prośbę jeneralnego konsulatu w Londynie poczynił czeski rząd krajowy stosowne poszukiwania, wyjaśniło się cokolwiek tajemnicze pochodzenie tego ulubionego dziś tańca. Wspomniona władza doniosła bowiem z dołączeniem autentycznych dokumentów jeneralnemu konsulatowi, że wynalazcą polki jest poprostu chłopianka, imieniem Anna Slezak. Ta służąc w r. 1830 w Elbetyńcu u jednego z mieszczan tamtejszych, wymyśliła sobie pewnej niedzieli nowy taniec przyspiewując sobie sama melodyą do niego, a obecny temu przypadkowo nauczyciel, Józef Neruda, pochwycił tę muzykę i w nutach przeniósł na papier. Po jakimś czasie zanieśli studenci ten nowy taniec do Pragi, gdzie dla używanego w nim ciągle półkroku otrzymał swoją nazwę od czeskiego wyrazu „pulka“, to jest polowa. Z Pragi dostała się polka przez jakąś kapelę muzyczną do Wiednia. Nakoniec w r. 1840 tańczył jakiś praski nauczyciel tańców polkę czeską w teatrze Odeonie w Paryżu, gdzie przyjęto ją z hucznymi oklaskami, a ztamtąd rozszerzyła się ona z niesłychaną szybkością po wszystkich salonach i salach balowych cywilizowanego społeczeństwa. Czyż mogła przeczuwać uboga służąca czeska, że nieudolne jej skoki przyjdą do takiego znaczenia na świecie?!

Kącik humorystyczny „Strzechy.”

Pierwotór Don-Żuana.

Jeszcze za tobą fiołek tęskne oczki mruży,
 Drzy hijacent, twem skrzydłem w przelocie muśnięty...
 I zaledwieś rumiany calus ukradł róży,
 A już siesz białe czoło lilii uśmiechniętej!

Nad łąk wdziękami zawsze lśni twój płaszcz rozpięty
 Jak flaga Don-Żuana, wszystko ci tam służy!
 Z ros się swoich kwiat każdy przed tobą wynurzy,
 Najdumniejszy wdzięk zda się przed tobą ugięty...

O kwiaty łąk, naiwne! dobrą widać wiarą
 Placiecie zdradnej Iris, która płaszcze przedzie
 Motyle, rozplatając w tęczę — nitkę szarą...

Motyłu! na róż rżesach gdy pryśnie narzędzie
 Obludnej zalotności, będziesz znów — poczwara,
 Jak Don-Żuan, gdy trąci o serce w zapędzie..

B. KOMOROWSKI.



Przykład idzie z góry.

— Dla czego to Józio nie chce iść do szkoły?
 — A bo plosę mamy, zlobiliśmy stlike!

— A to co nowego?
 — Bo nam kazą się ucyć jak w Dublańskiej skole.

Darwinista w kłopotach.

— Ależ to jest niegodziwe twierdzenie, mężusio, jakoby ród ludzki miał się być rozwinąć z małpy!

— Jednak duszko, twierdzenie to opierają na podstawie naukowej...

— Fe! z jakiegoż źródła wywiodą w takim razie duszę ludzką?

— Aha, duszę... duszę — poczekaj duszko, ja ci wnet wytłumaczę tę duszę...

— Nie, nie! już to ten pan Darwin widocznie musi być starym kawalerem i nie ma wyobrażenia o kobiecie...

— Dlaczegoż tak sądzisz duszko?

— No, bo jużci nie naznaczyłyby rodzajowi ludzkiemu takich brzydkich praocjów, znając piękniejszą jego połowę!.. A widzisz waćpan, że pobity jesteś z kretesem.

— Hm, tak, tak zapewne!.. chociaż — uważasz duszko — ależ przypomnisz sobie nawet niezawodnie z paryskiego Jardin des plants, że istnieją rozmaite, ponure i figlarne, dzikie

i łagodne, słowem brzydkie i piękne małpeczki — zupełnie jak nie przymierzając...

— Nieznośny, brzydki, dziki jesteś jak sam — jak sam orangutan! Nie to jednak nie przeszkadza, abyś mi nie miał sprawić dziś takiego samego kapelusika, w jakim widzieliśmy panią Z...

— Brawo! z największą chęcią, bo niczem lepiej nie poprzemy duszko teorii Darwinowskiej!

— Cóż znowu!

— Tak, tak — bo ubierając kapelusik taki sam, jaki nosi pani Z., moja duszka będzie naśladować kogoś — a wiadomo przecie, czym najwybitniejszym przymiotem jest popęd do naśladowania!

— Cicho, cicho! bo gotowam pogniewać się na prawdę.

— Ale kapelusik! kapelusik w guście pani Z.! Spieszmyż do modniarki naprzód, a potem już pewna duszka gniewać się będzie na swego „orangutana!”